

NASZE ŻYCIE

POLSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

Rok II

Ryga, 1 stycznia 1936 r

Nr 1 (54)

1

9

3

6



Jan Kochanowski

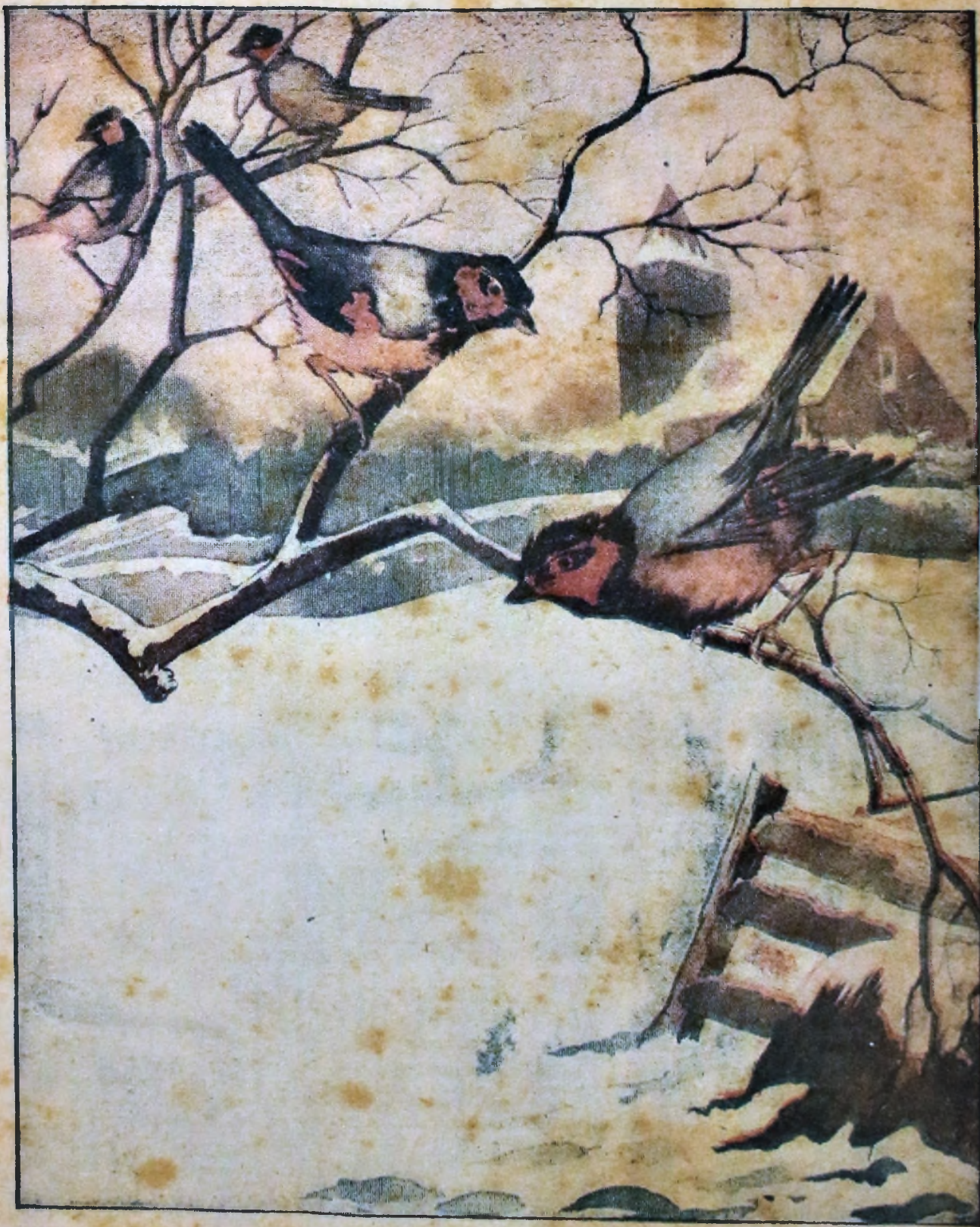
Na Nowy Rok

Tobie bądź chwala Panie wszęga
świata,
Ześ nam doczekać dał nowego lata;
Daj, byśmy się i sami odnowili,
Grzech porzuciwszy, w niewinności
żyli.

Łaska Twa święta niechaj będzie
z nami,
Bo nic dobrego nie uczynim sami;
Mnóż w nas nadzieję, przysporz
prawej wiary,
Niech uważamy Twe prawdziwe
dary;

Użycz pokoju nam i świętej zgody,
Niech się nas boja pogańskie
narody;
A Ty nas nie chcesz odstępować
Panie!
I owszem racz nam dopomagać za
nie.

Błogosław ziemi, z Twej
szczodroblewości,
Niechaj nam dawa dostatek
żywności.
Uchowaj głodu i powietrza złego;
Daj wszystko dobre z miłosierdzia
Swego.



I oni też winszują sobie...
Nowego Roku

W obliczu nowych 366 dni

Droga przez życie bieży długim, w mrokach wieczności ginącym, szlakiem. Dla jednych wyboistą, dla innych jest równą; dla jednych zrozumiałą i łatwą, dla innych jest posępną i tajemniczą. Ale dla wszystkich rozpoczyna się i kończy jednakowo, dla wszystkich jest drogą, którą trzeba przejść, odmierzając na wielkim zegarze czasu sekundy, minuty i godziny ziemskiego bytu.

I oto niedługo zegar znowu uderzy ostatnie uderzenia godziny dwunastej minionych dni trzysta sześćdziesiąt i pięć. Na chwilę znajdziemy się jakgdyby na przełęczy, u której — przez tysięczny ułamek sekundy — czas przestanie istnieć, poza nami zaś pozostanie 365, przed nami nowych dni 366 odsłoni swoje oblicze.

Na jedną chwilę.

Potem zegar ponownie miarowo odliczać rozpocznie swój nielitościwie uchodzący czas, jakgdyby uśmiechając się do nas z politowaniem, że oto znowu o sekundę, o minutę, o dzień, o miesiąc, o rok jeden staliśmy się biedniejsi i starsi.

I życie popłynie dawnymi drogami: dla jednych, tak jak w roku ubiegłym, szare i monotonne, dla innych — lekkie, zwodnicze i uśmiechnięte.

Z Nowym Rokiem!

Z nowym szczęściem!...

Mamy wybitną skłonność do wiary w kształtowanie się życia bez czynnego udziału ze strony samego człowieka.

Jakoś tam będzie! Z nowym szczęściem!... Jakgdyby to „szczęście” i w dodatku — „nowe” — miało spaść nam z nieba w postaci grubo nabitej sakiewki, czy wygranej bilety na loterii.

I jakże trudno jest uwierzyć — zwłaszcza po nastrojach świątecznych — że nie się w życiu nic odmieniło i, że tak samo, jak za panowania roku starego — nie się bez naszego udziału nie odmieni!

Ale uwierzyć trzeba. Tak, jak trzeba przy zakończeniu 365 dni roku ubiegłego zrobić szczerze i odważnie bilans roku i niemniej śmiało, ale z poczuciem rzeczywistości, nakreślić sobie plan pracy na rok przyszły.

Nie zapominajmy przytem, że jesteśmy członkami społeczeństwa, będącego w Państwie Łotewskim, do pewnego stopnia, przedstawicielem Narodu Polskiego.

Że tak jak nas widzą — każdego z osobna — tak o całym społeczeństwie naszym piszą i mówią.

Dużo jeszcze jest do zrobienia na leżących odłogi niektórych odcinkach naszej pracy narodowo — społecznej.

A wciąż brak rąk, brak mądrych głów, gorących, ofiarnych serc!

To, co robimy z dobrą myślą o sobie i społeczeństwie — robimy też dla państwa, w którym zamieszkujemy, a w którym naczelną ideą, wyrażoną przez jego Wodza jest jedność myśli miast wzajemnego zwalczania się.

Na dobro Państwa składają się wartości pozytywne poszczególnych jego obywateli i grup narodowościowych. Zechciejmy skupić się i zogniskować swoje siły społeczne, ażeby i nasza społeczność — społeczność polska — tak jak dotąd — niosła swój, niemniej od innych, cenny wkład w ogólną skarbnicę. Ale pamiętajmy, że droga do tego wiedzie poprzez łączenie się, po przez wiązanie-konsolidację. Po przez rzetelną pracę w polskich organizacjach, w społeczeństwie.

Pamiętajmy o tem w roku nowym bardziej niż kiedykolwiek.

Zanim skończymy życzeniami noworocznymi, kilka słów powiemy jeszcze o „Naszym Życiu”. Numer dzisiejszy rozpoczyna drugi rok istnienia naszego jedynego pisma polskiego w Łotwie.

W ubiegłym roku istnienia „Naszego Życia” spotkaliśmy się z gorącymi objawami sympatji naszego społeczeństwa.

Dodawało to nam otuchy i zapału w niełatwej naszej pracy.

I nadal będziemy robili wszystko, co od nas zależy, ażeby poziom pisma podnieść i ulepszyć.

Wierzmy, że społeczeństwo polskie nie poskąpi nam dowodów swej sympatji, które najprościej i najwymowniej mogą się wyrazić w uzyskaniu przez pismo nowych współpracowników i prenumera torów.

Oby ich w roku nowym przybyło jaknajwięcej!

A teraz dla wszystkich — jaknajserdeczniejsze życzenia:

DOSIEGO ROKU!

Ruch ludności w Łotwie

Straty w ciągu 10 lat

„Rits” zamieszcza w jednym z ostatnich numerów artykuł, poświęcony naturalnemu przyrostowi ludności w Łotwie. Ze względu na interesujące niektóre cyfry, przytaczamy z niego ciekawsze ustępy.

Jaki jest przyrost naturalny ludności w Łotwie? W roku 1925 wynosił on 13.631, czyli 7,34 na 1000 mieszkańców, w 10 lat później natomiast tylko — 6.318, czyli 2,25 na 1000 mieszkańców, przyczem przyrost zmniejszał się systematycznie z roku na rok. Do roku 1925 spadek ten zaledwo zaznacza się, po roku 1925 — następuje b. szybko.

Cyfry wykazują, że mniejszy niż w Łotwie przyrost ludności jest tylko w Estonji i we Francji. We Francji cyfrowo wynosi on — 1,0 na 1000 mieszkańców, w Estonji — 1,3, w Łotwie — 3,2.

W tym słabym przyroście naturalnym ludności należy szukać przyczyn, że ludność Łotwy w żaden sposób nie może osiągnąć oczekiwanej cyfry 2 milionów osób.

W związku z tym brakiem ludzi, rąk do pracy — stwierdza autor — byliśmy smuszeni w r. b. wpuścić do Łotwy 42.000 robotników z zagranicy.

Gdzież ukrywa się zło?

TYDZIEŃ

Według obliczeń, cyfry zgonów wyraźnie uległy zmniejszeniu.

W latach 1925—1927 przeciętnie umierało 15 na tysiąc, w roku 1931 — 11,01 na 1000, w 1932 — 13,64, w 1933 — 13,57 i w roku 1934 — 12,90 na tysiąc mieszkańców.

Ale cyfry te nie mogą przysłonić istotnego niebezpieczeństwa — zmniejszania się ilości urodzin.

W latach 1925—27 przeciętnie rodziło się 41.300 dzieci w roku. W 1932 r. urodziło się już tylko 37.366, w 1933 — 34.576 i w r. 1934 — tylko 33.383. W roku więc ostatnim urodziło się o 8000 mniej dzieci niż w roku 1925, umarło zaś o 618 ludzi mniej, wobec czego przyrost naturalny zmniejszył się o 7282 osób.

Ludność mogłaby zwiększyć się w roku 1934 o 13.600 osób, ale zwiększyła się tylko o 6.318.

Jakże się dzieje na tym odcinku u naszych sąsiadów? Przyrost naturalny obniżył się niewątpliwie wszędzie, ale nie w tak znacznym stopniu, jak w Łotwie. Europę można podzielić na dwie części: na państwa z wielkim i małym przyrostem naturalnym. Do pierwszych należy Polska, Litwa, Rosja, Włochy, Rumunia. W tych państwach przyrost naturalny jest czterokrotnie większy od przyrostu naturalnego w Łotwie. W Polsce więc np. przyrost naturalny w roku 1934 wynosił 12,1 na 1000 mieszkańców, w Litwie — 10,2, we Włoszech — 10,1. Do drugiej grupy państw o małym przyroście naturalnym należą państwa Skandynawskie, Estonja, Niemcy, Anglia i t. d.

We wszystkich jednak tych państwach przyrost naturalny jest daleko większy niż w Łotwie.

Wiadomości bieżące

Nowy miesięcznik „Sejejs”, poświęcony zagadnieniom uniwersalnego i kulturalnego życia łotewskiego, ukazał się pod redakcją red. Druwy.

Wśród autorów, którzy zamieścili swoje prace w pierwszym numerze tego pisma należy wymienić: dr. K. Ulmanisa, Wirzę, Pludonia, prof. A. Tentela i t. d.

W lecie r. b. okręgowe święta śpiewu organizuje w lipcu okręg Burtnieki, w czerwcu — Cesis, w lipcu — Raunas, Jelgawa i t. d.

Choińkę dla 644 pastuchów zorganizował Czerwony Krzyż oraz Ryski Komitet Pomocy Społecznej.

Prezydent Ministrów dr. K. Ulmanis ofiarował na zorganizowanie tej choinki Ls 100.

35 lat pracy publiczystycznej świętował w ub. tygodniu znany w Łotwie dziennikarz i publicysta Otto Nonacs. Z jego ostatnich prac należy wymienić książkę, poświęconą Polsce współczesnej, wydaną w Rydze. Red. Nonacs przyjmuje czynny udział w pracy instytucyj oraz na łamach prasy bieżącej, propagując zbliżenie państw bałtyckich oraz zbliżenie z Polską.

Gorące jedzenie otrzymuje w Rydze przeszło 4000 osób w 16 kuchniach specjalnie przeznaczonych dla dożywiania biednych, czy niezdolnych do pracy osób.

Towarzystwo łotewsko-czechosłowackie świętowało w dniu 20 grudnia ub. r. 10. rocznicę swego istnienia.

W szkole szybowcowej (samolotów bezsilnikowych) w Rydze „uczy się” latania obecnie 60 osób (5 pań i 55 panów).

Nowe powiaty w Latgalji. Departament samorządowy min. spraw wewnętrznych prowadzi prace przygotowawcze, mające na celu podział niektórych gmin w Latgalji. M. in. w Daugawpilskim powiecie projektuje się podział gminy Kapini, z której powstaną dwie gminy: Kapini i Eglunas. Gminę Liksniejską podzieli się również na dwie: Liksnas i Niegales.

Budżet Banku Łotwy na rok 1936 po stronie dochodów wynosi Ls 7.496.000, po stronie wydatków — Ls 6.196.704. W roku 1935 dochód w budżecie wynosił Ls 7.266.100, rozchód — Ls 6.335.331.

W ŁOTWIE

Rolnictwo – podstawą gospodarki

Na ostatnim odbytem posiedzeniu Izby Rolniczej minister rolnictwa J. Birznieks wygłosił obszernie przemówienie, poświęcone praktycznym zagadnieniom rolnictwa.

M. in. minister wskazał na prawo o pomocy tym, którzy ucierpieli z powodu klęsk żywiołowych (grad, powódź i t. d.), uchwalone w roku ub. Zarówno to prawo, jak i inne ułatwienia dla rolników zostały wprowadzone pod kątem widzenia koniecz-

ności uczynienia rolnictwa podstawą gospodarki państwowej.

I jakkolwiek dochód rolnictwa ze sprzedaży zboża zmalał o jakieś 5—6 milj. latów, to jednak przy zwiększeniu cen w innych dziedzinach różnica ta zostanie wyrównana. A więc np. w listopadzie r. ub. kiedy cena masła była ustalona na Ls 1,75 za klgr., rząd znalazł możliwości podniesienia tej stawki o 25 sant., co dochód rolnictwa w tym miesiącu zwiększyło o 600.000 latów.

Tak samo zostały podniesione ceny świń (do 50—60 sant., zamiast dotychczasowych 30—40 sant.). Zwiększył się również zysk z ziemniaków, z których jedynie pędzono spirytus, oraz które zaczęto poraz pierwszy eksportować.

Zwiększył się również eksport masła (na około 2 milj. klgr.), co dało również poważne zyski.

Rolnicy, którzy ucierpieli od katastrof żywiołowych, będą mieli ciężką zimę. Fundusz zapomogowy wypłaci tym rolnikom około pół miliona latów w postaci zapomóg.

W dalszym ciągu swego przemówienia minister Birznieks wskazał na te ułatwienia, z jakimi do rolnika przychodzi stale Rząd, podkreślając m. in. umożliwienie uregulowania długów dla gospodarstw, które ucierpiały z powodu wojny, uchwalenie prawa o budownictwie gospodarskim, popieranie wznoszenia budowli ogniotrwałych i t. d.

Przechodząc do zagadnień budżetu rolnika na rok przyszły, Minister mocno podkreślił potrzebę przystosowania produkcji gospodarstwa do potrzeb rynku.

Jakie są niedociągnięcia w gospodarstwie? Na jakich odcinkach? Przedewszystkiem — na odcinku hodowli lnu, owsa, uprawy łąk. Hodowla pozostaje wciąż podstawą naszej gospodarki rolnej. Należy podnieść jej poziom ze względu zarówno na rynek wewnętrzny, jak i zagraniczny.

W dziedzinie hodowli koni np. jest dużo do zrobienia. W ciągu ostatnich 15 lat wwieziono z zagranicy 110.000 koni, za których zapłacono około 40 milj. latów, przy czym gospodarz płacił przeciętnie od 360 do 400 latów za konia.

Czy każdy z powiatów nie mógłby zająć się racjonalną hodowlą koni?

— Należy przyjąć za program — kontynuował Minister Rolnictwa — że w roku 1940 państwo nie będzie więcej importowało koni.

Rynek jajezarski uregulowano już w roku ubiegłym. W roku obecnym eksport jaj osiągnął cyfrę 15—20 milionów sztuk, t. zn. tyle ile było przedtem.

Podobnie importowano w latach ubiegłych od 140 do 160 tysięcy ton żyta, którego eksport w r. ub. osiągnął 226.000 ton.

W sadownictwie należy dążyć do podniesienia wydajności sadów. Trzeba ażeby sad dostarczał owoców nie tylko na jesień, ale też na okres całego roku.

Przechodząc do kwestii robotników rolnych, minister Birznieks podkreśla nieracjonalne ich zużytkowanie. Ponadto, przy zmniejszeniu cła na maszyny rolne, da się maszynami teni zastąpić siłę roboczą, sprowadzaną z zagranicy.

Obniżka cła na owoce

Gabinet Ministrów przyjął zmiany i uzupełnienia w taryfach celnych.

W związku z powyższymi minister finansów L. Ekijs wyjaśnia m. in., że zmiany i uzupełnienia, wprowadzone przez Gabinet Ministrów do taryf celnych, mają na celu nadanie tym taryfom większej jednostajności i jasności. Tego rodzaju zmiany natury redakcyjnej dotyczą więc cła, związanego ze sprowadzaniem części kotłów, mostów, aut. Najgłówniejsze obniżki cła dotyczą pro-

duktów, używanych przez szeroką warstwę ludności. A więc obniżce uległo cło na owoce południowe, jak banany, pomarańcze, cytryny, mandarynki i t. d. Stawki celne na te owoce obniżone zostały znacznie zwłaszcza z okresu od 1 stycznia do 30 czerwca, t. zn. w czasie w którym obserwuje się brak owoców miejscowych. Cło połowe zmniejszono również cło na ryż.

Pozatem zmniejszeniu uległo cło na maszyny parowe, materiały i inne rzeczy.

Autonomia cerkwi prawosławnej

Arcebiskup cerkwi prawosławnej Germanoss, na polecenie patriarchy konstantynopolskiego Fotia, nadesłał do Synodu kościoła prawosławnego w Łotwie list, informujący o udzieleniu autonomii dla cerkwi prawosławnej.

W związku z powyższą decyzją Konstantynopola zachodzi potrzeba obrania przez synod prawosławny w Łotwie najwyższego pasterza autonomicznej cerkwi prawosławnej — metropolity.

W tym celu synod prawosławny prowadzi obecnie pracę przygotowawczą do wyborów, które odbędą się prawdopodobnie 20 stycznia 1936 r.

Patriarchat konstantynopolski, który zezwolił na autonomię cerkwi prawosławnej w Łotwie, składa się z 12 metropolitów, którzy jednocześnie są członkami najwyższego synodu prawosławnego — synodu konstantynopolskiego.

Na froncie gospodarczym

Minister W. Rubuls obchodził w dniu 23 grudnia ub. r. 10-lecie swego urzędowania w charakterze ministra spraw opieki społecznej.

15 latów — bez zezwolenia

Przewodniczący Komisji walutowej A. Dinsberg podpisał rozporządzenie, na mocy którego każda osoba, starsza ponad lat 16, ma prawo wywozić z granicę bez pozwolenia Komisji Walutowej kwotę w wysokości Ls 15.—. Dotyczy to również młodzieży, studiującej zagranicą. Mieszkańcy pasa pogranicznego mogą wywozić wyżej wymienioną kwotę nie częściej jak raz na tydzień.

Nagrody za hodowlę lnu, wynosiły w r. ub. Ls 100.729. W lecie ub. r. poddano obserwacji 40.473 gospodarstw. Z tej liczby nagrodzono na powyższą sumę przeszło stu tysięcy latów 2.684 gospodarstw.

Ostatni termin zgłaszania buraków cukrowych do cukrowni Liepajskiej upłynął dnia 31 grudnia 1935 r.; do cukrowni krustpińskiej — upłyne 10 stycznia b. r., do jelgawskiej — 15 stycznia b. r.

Dobre drogi i mosty

W bieżącym roku gospodarczym wybudowano w Łotwie nowych dróg: 27 km. szosowych, 22 km. zwykłych i 6 km. innych. Oprócz tego odnowiono 35 km. dróg szosowych oraz 44,2 km. zwykłych.

Wydatki związane z budową nowych dróg wyniosły Ls 560.000, z przebudową — Ls 44.000.

Ogólna długość dróg szosowych wynosi obecnie 1280 km.

Państwowe drogi posypane żwirem wynoszą, jeśli chodzi o długość, 9.070 km.

Na budowę mostów i ich kapitalne odnowienie wydano w ub. roku gospodarczym Ls 920.000 oraz na remonty drobne Ls 180.000. Ogólnie oddano do użytku 78 nowych mostów.

Stosunki handlowe Niemiec z Nadbałtyką

„Lietuvas Aidas” pisze, iż... „Sama prasa niemiecka przyznaje, że w ostatnich latach Niemcy w Nadbałtyce utracili pod względem handlowym poważne pozycje na korzyść Anglii.

Dla odzyskania tych pozycji Niemcy w tych dniach pośpiesznie zawarły traktaty handlowe z Łotwą i Estonją.

Warto zaznaczyć, że od czasu, jak stosunki Niemiec z Litwą uległy pogorszeniu, ich obroty handlowe z Łotwą i Estonją znacznie wzrosły.

Obroty handlowe z Łotwą wynosiły w 1933 r. — 27 milj. latów, w 1934 r. — 25,5 milj. latów i w 1935 r. — 45,5 milj. latów (w ciągu 8 miesięcy).

Obroty z Estonją w milionach koron przedstawiały się następująco: (w ciągu 9 miesięcy) 1934 r. — 18,1 i 1935 r. — 26,5”.

Pierwsze miejsce w Europie zajmuje Ryga pod względem udzielania w szkołach gorącego jedzenia dla uczniów. Postanowiono — na posiedzeniu Zarządu Szkolnego — że stan taki zostanie utrzymany i nadal. Pozatem zdecydowano opracować warunki, na podstawie których uczniowie będą nagradzani książkami, ubraniami i obuwem.

Pierwsze pismo w narzeczach łatgalskim ukazało się w dniu 27 listopada 1905 r. Pierwsza gazeta w języku łotewskim — w 1822 r.

W okresie po powstaniu Państwa Łotewskiego do 15 maja 1934 r. w Łatgalii wychodziło 14 pism partyjnych. Po 15 maja — ukazują się dwa: „Latgolas Words” (założony w r. 1919) oraz „Jaunais Words” (zał. w r. 1931).

Uwolnienie włościan od pańszczyzny nastąpiło w Widge i Kurzeme w latach 1817—1819, w Łatgalii tylko w roku 1861.

Zamiast życzeń noworocznych

Spis osób, które, wzamian wizyt noworocznych, złożyły ofiarę na korzyść Polsk. Rz. Kat. T-wa Dobroczynności w Rydze

Andrzejewski K., Antonowicz B., Aramowiczówna M., „Ausra”, Babikin K., Batjanowie, Benisławska A., Bigge A., Błażewicz K., Bluhmenowie, Bogdanowicz U., Boguszanka L., Borewicz Z., Borodziej E., Brink K., Buszowa M., Butkiewicz G., Ks. Buturowicz J., Ciesiulewiczowa W., Czajkowski Jar., Czechowiczówna St., Danusiewicz W., Dawajnowscy W. i L., Długoborska, Drejmanowa M., Dyrda St., Elismont J., E. P., Frackiewicz A., Frackiewicz C., Fedderówna Rita, Ficnerowa K., Forgacz J., Ginczewski M., Girski W., Goldakowscy M. i R., Grabowski W., Grossmann W., Gulbińska A., Gulbińska W., Hamrich H., Ingelewicz Benedykt z żoną, Ingelewicz Bruno z żoną, Iledowa H., Janiszewscy A. i A., Jankowska K., Jatulis R., Juraszek J., Jursza-Zemnieks A., Justel J., Juszkiewicz A., Kamińska E., Karkliń E., Karmazo P., Kaszewski K., Kielezyński, Kiselowa A., Klawean B., Knittowa, Konrad J., Krasowski J., Krzyżanowscy A. i M., Krazowski M.,

Kurmin W., Langiewiczowie, Lepeszko K. z żoną, Leonowicz A., Liberks N., plk. Liebach A. z małżonką, Ludwig J., Lapińska M., Dr. Łęcki Z. chargé d'affaire R. P., Łukjańscy, Makowscy J. i M., Manciewicz A., Matulenko K., Mejerowicz A., Meslin, Miłasz D., Mundecenowa L., Nagujewscy, N. N., Narkiewicz L., Ks. Nowicki Aleks., Olichnowicz S., Ostrowska A., Pajkun J., Pieslakowie M. i M., Piotrowska E., Polsk. Stow. Żyw. Roślin, Pożaryscy, Pryżgintowa M., Pudowska C., Puchowski R., Rajmund L., Rakowski Z., Raczevska M., Reizniek H., Reuttowa E., Ripke Z., Rokicki Konst., Romanowski K., Ruran A., Saldow A., Sawicki J., Semenczuk W., Siwicka W., Skomorowska, Som E., Stanekiewicz M., Stanisław J., Stempkowski, Sudymtowie F. i A., Swirski Ant., Swylanowie J. i P., Szafranko P., Szawdynis, Tamulisówna K., Tarchalski J., Tokar W., Trejanówna Z., Trejnisiowie, Twerjanowicz Jan, Unikowska W., Urbanowicz W., Waliszewski W., Wasilewska M., Wojciechowska A., Wojciechowska K., Ks. Wollowicz J., Wojtkiewicz K., Wyrzykowski M., Zawadzki Ed., Zdanowicz A., Zigmundowa M., Zimasz R., Zuchowska K.

Germania tańczy

Reorganizacja współczesnych Niemiec odbywa się pod kierunkiem partii nar. soc. na wszystkich płaszczyznach życia i dotyczy nie tylko spraw politycznych i społecznych, lecz w równej mierze artystycznych i towarzyskich. Ostatnio wiele uwagi poświęca się tańcom. Renesans tańców ludowych daje się zauważyć w całej Europie.

Pokrewne tendencje, istniejące w Niemczech, wyrażają się nie tylko w powrocie do tańców ludowych, ale co ważniejsze, w dążeniu do opracowania zupełnie nowego niemieckiego tańca towarzyskiego, opartego na podstawowych motywach, zaczerpniętych z tańców nordyckich. Zamiar ten nie jest li tylko teoretyczny. Próby wynalezienia nowego tańca robione są wszędzie. Pracują nad tem szkoły taneczne, szkoły gimnastyczne, służba pracy, wyższe szkoły miejskie i wiejskie, związki muzyczne i koła tańców ludowych.

Wydział kultury nar. soc. pilnie śledzi te po-

czynania, oczekując momentu, kiedy z różnych prób powstanie jeden niemiecki taniec towarzyski tak, jak język niemiecki powstał z różnych dialektów regionalnych.

Jednocześnie wytoczono formalną wojnę tańczonym w Niemczech tańcom salonowym, przyjętym zresztą w całym świecie.

Nowa forma życia niemieckiego wymaga nowej formy tańca. Ma to być taniec figurowy, gdzie wszyscy będą podporządkowani wspólnemu celowi. Figury taneczne mają dać pole do popisu mężczyźnie, a nie kobiecie, jak to jest w wielu tańcach, będących obecnie na indeksie w Rzeszy Niemieckiej. W dążeniu do konkretnego wyniku tych zamierzeń wydział kultury n. s. przeprowadził pokaz tańców i gimnastyki na stadionie olimpijskim w Berlinie.

Jak dotąd, projekt wynalezienia nowego tańca niemieckiego nie został zrealizowany.

Cenne wiadomości

Służba informacyjna z placu boju w Abisynji pochłania bająskie sumy. Jak obliczył organ angielskiego związku wydawców „Worlds Press News” koszty transmisji wiadomości z Abisynji i Erytrei dla prasy angielskiej wyniosły od początku kampanji do końca listopada przeszło 6 milionów latów.

„Reuter” wydaje tygodniowo około 2.000 funtów na utrzymanie służby informacyjnej w Afryce Wschodniej. — Transmisja jednej wiadomości, zawierającej 135 słów, kosztuje około Ls 400. Wynajęcie samolotu filmowego dla robienia zdjęć z placu boju kosztuje tygodniowo około Ls 40.000. Jedna z gazet londyńskich zapłaciła za same ilustracje z placu boju Ls 60.000. Wyekwipowanie

dziennikarza angielskiego, udającego się do Abisynji, kosztuje około Ls 1.000. Ogólne koszty związane z wysłaniem sprawozdawcy wojennego do Afryki Wschodniej, obejmujące wydatki na paszport i wizy, przejazd, ekwipunek, ubezpieczenie na życie i od nieszczęśliwego wypadku, wynoszą ponad Ls 10.000. Utrzymanie miesięczne wynosi Ls 2.000. Oplata za telegramy miesięcznie Ls 10.000. Za specjalną służbę informacyjną „Reuter’a” dzienniki angielskie płacą miesięcznie 250 funtów, szterlingów, za serwis fotograficzny 100 funtów, za informacje specjalne z Rzymu i Genewy 400 funtów.

Jak widzimy wiadomości z Abisynji są dość cenne, „drogocenne”.

Nowe samoloty na Polskich Linjach Lotniczych

Polska utrzymując komunikację powietrzną na wielu szlakach międzynarodowych, na których spotyka się z konkurencją obcą, nie może pozostać w tyle i w dalszym ciągu posługiwać się samolotami, jakie w dzisiejszym pojęciu uważane są za przestarzałe. Z tego też względu Polskie Linie Lotnicze „Lot”, po przeprowadzeniu gruntownych studiów nad wszystkimi typami samolotów, wyprodukowanymi ostatnio przez przemysł lotniczy całego świata, zakupiły samoloty produkcji amerykańskiej typu „Douglas” i „Lockheed Electra”.

Samoloty obu typów rozwijają szybkość maksymalną ponad 300 km, na godzinę i zbliżone są do siebie pod względem wyglądu i konstrukcji — (sporządzone całkowicie z metalu, dolnopłatowce, o dwóch silnikach, umieszczonych z obu stron kadłuba) i posiadają tak samo komfortowo urządzone wnętrza, bardzo wygodne fotele, które

można dowolnie przechylać, znakomitą wentylację, toaletę z bieżącą wodą i t. d.

Pełnią one od wielu miesięcy służbę na licznych liniach amerykańskich od Kuby do Alaski i przebiegają już miliony kilometrów z pełnym bezpieczeństwem.

„Locheedy” przybędą do Polski na m/s „Piłsudski” w najbliższym czasie i użyte zostaną na liniach komunikacyjnych z chwilą wejścia w życie letniego rozkładu lotów, t. j. od dnia 5 kwietnia 1936 r. Wówczas „Douglaasy”, które, jak wiadomo latają już w Polsce od kilku miesięcy, obsługiwać będą linie międzynarodowe, cieszące się największą frekwencją, „Locheedy” zaś — linie „trzech mórz”, łączące Bałtyk z Morzem Czarnym i Egejskim, zapewniając połączenie w jednym dniu z Warszawy do Aten.

Ze świata sportu

Polska — Niemcy w szpadzie — 8:8. Drużyna polska sprawiła niespodziankę. Niemcy przyjechali po pewne zwycięstwo. Pokonali bowiem w b. r. zespoły reprezentacyjne Węgier i Włoch, Belgii i Szwecji, Turcji, Jugosławii, Czechosłowacji i Austrii. W Warszawie się jednak zawiedli. Polacy stawili dzielny opór, wysuwając się zdecydowanie na równorzędne ze szpadzistami niemieckimi stanowisko.

W szabli — Polacy zwyciężają Niemców w stosunku 10:6. Jest to trzecie dotychczas zwycięstwo Polaków w rozgrywkach z Niemcami.

Ciekawe, że mecz Polska — Niemcy był 41-y meczem rozegranym przez reprezentację szablówką Polski i 22-im meczem wygranym.

Nehringowa bije rekord Polski na 500 m., mając (54,2 sek.) o 0,5 sek. lepszy czas od dotychczasowego.

Należy zaznaczyć, że czasy innych zawodników polskich, odbywających treningi łyżwiarskie, również znacznie się poprawiły.

Niepokój w

Egipcie

Przy aucie ciężarowym polic.

Ja w chelmach aresztowuje demonstrantów



NA SZEROKI

Państwo zanikające

Państwo zanikające — Czechosłowacja. Pod powyższym tytułem podaje „Lekarz Polski” dane statystyczne ruchu ludności w państwie Czechosłowackim. Według tych danych, cytowanych również w prasie niemieckiej, przyrost naturalny w Czechosłowacji spadł poniżej połowy przyrostu z roku 1923. Liczba zgonów utrzymuje się na jednakowym prawie poziomie, liczba urodzeń żywych oraz zawieranych małżeństw spada systematycznie.

Jeżeli procesy te będą odbywać się nadal w tym samym tempie, to za lat 20 ludność Czechosłowacji znacznie wymierac.

Przyrost naturalny, który w roku 1923 wynosił 170.320, w roku 1933 osiągnął liczbę o połowę mniejszą — 82.453. Liczba 379.808 żywo urodzonych w roku 1933 spadła do 287.655. Ten sam obraz daje liczba małżeństw, która w tych latach wyniosła 130.448—124.698.

Król Rumuński o polityce

Bukareszt. Król Karol przyjął w pałacu królewskim delegację obu izb, które ze zwykłym ceremoniałem złożyły królowi odpowiedź parlamentu na oredzie tronowe, wygłoszone przy otwarciu sesji. W wygłoszonym przy tej okazji przemówieniu król oświadczył: „Postępujemy drogą zakreśloną od czasu wojny w ścisłym związku z paktem Ligi Narodów. Staramy się z każdym dniem zacieśniać stosunki z sąsiadami i ze wszystkimi narodami. Dzieło to, które wszystkie rządy kontynuowały z całą stanowczością, a na celu zagwarantowanie naszych granic i utrzymanie pokoju. Nienaruszalność traktatów, zacieśnienie sojuszy oraz utrzymanie pokoju, stanowią podstawę naszej polityki.”

Klub śmiechu

W Pradze utworzył się niedawno „Klub śmiechu”, którego zadaniem jest szerzenie wśród członków zamilowania do wesołości i śmiechu. Każdy członek oryginalnego klubu obowiązany jest do opowiedzenia codziennie jednej dowcipnej anegdoty, wesołego żartu. Warunkiem przyjęcia do „Klubu śmiechu” jest umiejętność naśladowania głosu kukułki, „oficjalnego” sygnału Klubu.

M ŚWIECIE

Historje abisyńskie

W wywiadzie udzielonym ostatnio przedstawicielowi „Petit Journal”, pułkownik belgijski Reul, pełniący przy rządzie Negusa w Addis Abebie stanowisko doradcy militarnego, podkreślił, że armja abisyńska mogłaby wystąpić w pełnej sile dopiero za jakie dwa miesiące.

Włosi — oświadczył pułkownik — potrzebowali 9 miesięcy dla zorganizowania kampanji abisyńskiej. Abisynja, według opinji pułk. Reul, w tym czasie nietylko nie podjęła żadnych kroków w kierunku przygotowania wojny, ale, ufając w skuteczność interwencji Ligi Narodów, wycofała słabe nadgraniczne oddziały wojowników 30 klm. w głąb kraju. W chwili wybuchu zatargu Abisynja nie posiadała armji we właściwym tego słowa znaczeniu. Po ogłoszeniu powszechnej mobilizacji, wojownicy z każdej wioski wyruszyli na wyznaczone im miejsce koncentracji, gdzie, jak w czasach feudalnych, poddawali się władzy miejscowego władcy, noszącego tytuł dziedzika. Ten prowadził oddział pod rozkazy dedżasmacza, który skolei, po skupieniu pod swemi rozkazami wszystkich podległych mu oddziałów, oddawał się pod rozkazy rasy. Tak ukonstytuowana armja wyruszyła na front. Marsz wobec braku jakichkolwiek środków komunikacyjnych trwał całe tygodnie, a nawet miesiące. Do końca listopada np. wiele oddziałów w głąb kraju nie zdołało jeszcze dotrzeć do linii frontu. Zdaniem pułk. Reul, abisyńska siła zbrojna mogłaby odegrać decydującą rolę na froncie dopiero w początkach lutego, ale wtedy rozpoczyna się już w niektórych okolicach Abisynji pora deszczowa.

Zbiegowie z armji włoskiej

Zurych. W Kantonie Graubünden przebywa pewna ilość dezertersów z armji włoskiej, którzy zbiegli do Szwajcarii, aby uchylić się od wysłania na front do Abisynji. Są to przeważnie tyrolczycy, dawni obywatele austriacy. Wielu z nich przekroczyło granicę w mundurach Gminy, w których przebywają dezenterzy, są w ciężkim położeniu. Z jednej strony tradycja szwajcarska nie pozwala wydać zbiegów Włochom, z drugiej jednak brak im środków na utrzymywanie tylu ludzi.

Pożyczka dla Włoch wzamian za zgodę na propozycje?

Paryż. Deputowany Blum w „Populaire” oświadcza, iż może stwierdzić, że jednym z warunków, od jakich Mussolini uzależnił zgodę na propozycje opracowane w Paryżu, jest pomoc finansowa Angli i Francji, a nawet, co byłoby już szczytem wszystkiego, jak pisze dziennik, gwarancja Ligi Narodów dla pożyczki, którą wypuściłoby natychmiast po zawarciu pokoju włoskie товариство kolonizacyjne.

Za stary garnet — bilet do kina

Z Rzymu donoszą, że w jednym z kinoteatrów można płacić wejście starym żelazem. Wszyscy widzowie znoszą, co się da: stare garnki, podkowy, kłamki, części maszyn, a nawet przedmioty złote i srebrne.

Z tygodnia

Intelektualna produkcja państw, według danych statystycznych bibliografji francuskiej, wynosiła w roku 1934, licząc ilość wydawnictw, we Francji — 15.728 (w roku 1932 — 15.325), w Anglii — 14.500 (więcej o 128 prac niż w roku 1932), w Niemczech — 21.601 (więcej o 149), w Rosji — 32.379 (35.000 w roku 1932), we Włoszech — 12.538, w Polsce — 10.086, w Hiszpanji — 3.194 (2.455), w Holandji — 6.889, w Danji — 8.906, w Rumunji — 4.127, w Portugalji — 3.079, w Stanach Zjednoczonych — 8.092 (mniej niż w roku 1932 o 943 prace).

W walce z gruźlicą

PAT donosi z Rzymu: Chemik dr. Mario Norkis po 20-letnich badaniach zdołał uzyskać nowy środek przeciwko gruźlicy. Na ogólną liczbę 30 wypadków, w których nowy środek był stosowany, uzyskano 30 wyników zadawalających.

Doświadczenia na szeroką skalę będą prowadzone niebawem pod kontrolą władz lekarskich.

Harcerki w Polsce otaczają opieką groby cudzoziemskich żołnierzy

Rokrocznie obchodzi się w Polsce uroczystość, poświęconą pamięci zmarłych. W tym dniu każdy udaje się na groby, aby je ozdobić, zapalić światła na mogiłach, modlić się za drogich swemu sercu.

Lecz są i groby samotne, zapomniane, rozsiane po całym świecie. W Warszawie, na cmentarzu wojсковym, są mogiły poległych w czasie wojny, żołnierzy rosyjskich, ukraińskich i niemieckich. Obecnie armje opuściły Polskę, lecz obecne mogiły zostały. Zdawałoby się, że zapomniane pozostaną już zawsze i jesienią tylko wiatr liśćmi złotymi je zasypywać będzie dla większej jeszcze niepamięci i zatarcia śladu.

A jednak tak nie jest. Oto warszawska żeńska chorągiew harcerska wie, że pod mogiłami temi spoczęli na sen wieczny ludzie zdala od swych rodzin, zdala od kraju i że im właśnie trzeba poświęcić chwilę pamięci i, sercem ogarnąć te mogiły, przyczynić się do rozpamiętania życia miłości wszechludzkiej, szukania drogi do zadzierzgnięcia bratnich uczuć między narodami.

I oto rokrocznie na te mogiły cudzoziemskich żołnierzy przychodzą harcerki, przynosząc, na znak pamięci, wianki świerkowe i palą światła dla tych, nad którymi tylko anioł zapomnienia zdawałoby się czuwać będzie.

2.236.646.06 złotych na pomnik Marszałka Piłsudskiego

Warszawa. W okresie pierwszych dni grudnia na Fundusz Budowy Pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie wpłynęło złotych 80.790,83.

Ogólna suma wpływów na Fundusz Budowy Pomnika osiągnęła 2.236.646,06 złotych.

Uroczyste zasłonięcie trumny Marszałka

Kraków. Odbyła się tutaj żałobna uroczystość zasłonięcia trumny kryształowej ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Dr. Benesz — Prezydentem Czechosłowacji

Praga. Odbyły się wybory prezydenta republiki Czechosłowacji. Wybory odbyły się w zmienionych warunkach, gdyż wycofał kandydaturę prof. Niemec. Jedynym kandydatem został min. Edward Benesz.

Przewodniczący Izby Malypetr zagał posiedzenie zgromadzenia narodowego i wygłosił przemówienie, poczem zgromadzenie przystąpiło do głosowania. Oddano ogółem 440 ważnych głosów, z czego 340 padło na min. Benesza, 76 było białych kartek, 24 oddano na wycofaną kandydaturę prof. Niemeca. Ponieważ do wyboru trzeba 2/3 oddanych ważnych głosów, min. Benesz wybrany został w pierwszym głosowaniu dużą większością.

Wynik wyborów przyjęty został przez zgromadzenie narodowe i galerję długotrwałemi oklaskami. Po półgodzinnej przerwie przybył do sali w towarzystwie premiera Hodży min. Edward Benesz i złożył przysięgę na konstytucję, poczem dokonał przeglądu kompanji honorowej, ustawionej na podwórzu zamkowym.

Praga. Premier Hodża złożył dymisję gabinetu na ręce prezydenta Benesza. Prezydent zatwierdził nowy gabinet w składzie dotychczasowym z tem, że ministerstwem spraw zagranicznych kieruje narazie premier Hodża.

Prasa pełna jest artykułów o wyborze prezydenta republiki. Dzienniki podkreślają, że przez



5 marszałków sowieckich w nowych uniformach: siedzą (z lewej) Tuchaczewski, Woroszyłow, Jegorow, stoją — Budzienny, Blucher

Kolumna poezji

Juljan Tuwim

Ty

Niczyj ja jestem na świecie,
Niczyj, jak trawa lub źródło,
Jam jeno Twój jest i Boży
Jam Twój.

Jam jeno Twój jest i Boży,
Dzień za dniem podążam w dal.
Jasnému Bogu spowiadam
Swoją żal...

I cicha jest spowiedź moja,
I ciche są moje łzy,
I Bóg mój jest wielką ciszą
I Ty...

Dzień za dniem na przyjście czekam
Iby mówić o żalu znów,
I płynie smutna rozmowa
Bez słów...

Dzień mój się kończy modlitwą,
Wspominam jasnymi sny:
Wspomnienie o moim Bogu —
— To ty...

Leopold Staff

Deszcz jesienny

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany.. płacz szklany.. a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sący się senny...

O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Wieczornych snów mary powiewne, dziewczęce
Naprawdę czekały na słońca oblicze...
W dal poszły przez chmurną pustynię piaszczystą,
W dal ciemną, bezkresną, w dal szarą i mglistą...
Odziane w lachmany szat czarnej żaloby
Szukają ustronia na ciche swe groby.
Powolnym i długim wśród dżdżu korowodem
A smutek cień kładzie na licu ich młodem...
W dal idą na smutek i życie tulące
A z oczu im leżą łzy... Rozpacz tak płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany.. płacz szklany.. a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sący się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Ktoś dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotny...
Kto? Nie wiem... Ktoś odszedł i jestem samotny...
Ktoś umarł... Kto? Próżno w panięci swej grzebię...
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś pogrzebie...
Tak... Szczęście przyjąć chciało, lecz mroków się zlekło,
Ktoś chciał mnie ukochać, lecz serce na pękło,
Gdy poznał, że we mnie skryć rozlicznie chce próżno...
Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jałmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... I ludzie wkrąg płaczą...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany.. płacz szklany.. a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sący się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Przez ogród mój szatan siedzi smutny śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropną pustelnię...
Z ponurem, na piersi zwieszonym, siedzi czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem,
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posłał szal trwogi i śmierci przerażenia...
Aż gtrwożon swem dziełem, brzemieniem ołowiu,
Położył się na tem kamiennym pustkowiu,
By w piersi łkające przytłumić rozpacz
I smutków potwornych płomienne łzy płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany.. płacz szklany.. a szyby w mgle mokną
I światła szarego blask sący się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Juljan Tuwim

* * *

Są takie bardzo dziwne, bolesne istnienia...
Są takie życia smutne, niewytłumaczone
Jak rzucane przez cichych wieczorne spojrzenia
W nieznanych pięknych kobiet ocienioną stronę.

Są takie melancholji pełne zmierzchy letnie...
Są świętej głębi słowa, mówione — nie w porę!
Są dziewczęta czternasto — i piętnastoletnie,
Co milczą i na serce są przez lata chore.

Są, jak nokturn Szopena... Jak zmierzchy, owiane
Najśłodziej wspomnień żalem... Jak dawne godziny...
Są — jak te słowa moje — niedopowiedziane —
Samotne, piękne, czułe, wieczorne dziewczyny.

Noszą w głębokich oczach przez całe swe życie
Jakąś fiołkową własnej duszy tajemnicę.
Wszystko im jest ostatnie... I więdną w rozkwicie,
Trawione przez najświętszą biednicę.

A gdy zbliży się cicha godzina skonania,
Milczą długo. Wtem — krzykną! — i serce im pęka,
„Wtedy w innym pokoju zegar „raz“ wydzwania,
I przy pościeli zmarłej ktoś szlochając kłęka.

Potem mają mogilkę, bratkami zasianą,
Pomnik, gdzie chór ptaszęcy zbiera się i gwarzy,
I śmierć, jak życie, mają niedopowiedzianą,
Taką cichą, jak wiosna wśród miejskich cmentarzy...

Zostaje po nich kajet — „pamiętnik“ najszczerzy,
Owionięty przedziwną tęsknotą liryczną,
Zostaje trochę słodkich, nieudolnych wierszy
Z jakąś miłością tajną: zmysłowo mistyczną...

Zostaje po nich pamięć trwożna... Jakaś inna,
Niż po zmarłych być zwykła... Nie mówi się o nich...

— — — — —

Są takie: piękne, ciche i na serce chore...
Są, jak upadające bez powrotu gwiazdy...
Jak zaduma nad wodą w białych zmierzchu porę...
Jak listy niewysłane... jak smutne odjazdy...

J. K. Illakowiczówna

Preludjum

Tęskni serce do śmierci łaskawej...
Hej, kołyszcie się, kołyszcie, wy, trawy,
tataraki i trzcino, hej, trzcino...
...tęskni serce za ostatnią godziną.

Wy, wysokie w stawach pióropusze,
każdy dzień zgubić chce, zabić duszę,
czart się czai, czeka, czeka chwili,
aż się dusza z gwiazd ku hańbie schyli.

Szkliste tafle jezior, wy, w tumanie,
znacie śmierci bezszelestne stąpanie,
znacie oddech jej na bagnach zatruty,
znacie ciche, śpiewne tony jej nuty.

Nie przed tobą, mgło wieczorna, nie tajem:
nocą dusza spływa tu, na rozstaje,
na wilgotne łąki nisko, nisko,
na ojcyste wkoło wód torfowisko.

Wypowiadam całą mękę wam, trzciny...
Jak złoczyńca czyha na mnie Jedyny,
jako złodziej, jak zbój podły, bez sławy!...
...Tęskni serce do śmierci łaskawej.

Piotr Chojnowski

Kij w mrowisku

Rokrocznie zjeżdżało się do Dankowa dzieciarnia na kopy. Majątek leżał przy samej łódzkiej szosie, niedaleko od stacji kolejowej. Komunikacja przepyszna. Co wiosny też listy bliższej i dalszej rodziny zapowiadały stryjence Maryni bliski napływ smyków różnego wieku, a zawsze „z poprawkami” lub „bez promocji”. Samych „nicpionów”, „galganów”, „darmozjadów”, „zakutych łbów”. Co lata też Danków stawał się czemś pośrednim między rajem, a kolonią poprawczą.

Stryjenka wiodła wśród nas regiment surowy. Cały tydzień wolno było na własną odpowiedzialność na głowie stawać, cały tydzień korepetytor notował tylko nasze zbrodnie w specjalnej księżeczce, a dopiero w sobotę po południu następowała „wypłata”. Dla młodszych generalne wały, dla starszych samotne rekolekcje w zamkniętym pokoju. Stryjenka bo trzymała się zacnych, choć nieco przestarzałych systemów edukacji.

Siaki taki „wódz Siuksów” albo „Robinson Kruzoe”, dumnie odziany w starą kapę od łóżka, z koguciami piórami w czuprynie, przestępował przecie w sobotę progi kancelarii z miną zrezygnowaną, a niespokojną.

Witał go wewnątrz ciemnego pokoju przykry widok moczonych w kubelku różeg i grzmiący bas pana Wróblewskiego, starego stryjencznego, rzadcy.

— Jak się masz, Miciu! Chodźno, aniolku...

I zaraz chwytało skazańca za rękę, a olbrzymi, sekąty paluch Wróblewskiego kiwał mu się przed nosem w miarę wygłaszanych tyrad moralnych.

— A ładnie to Chaimowi gruszki kraść po nocy? Przystoi to Miciowi? Po pańsku to, czy po złodziejsku? Jak Micio myśli? A Micio nie wie, że „od rzemyczka do koniczka”? Nie wie, Micio, co? (Prawa ręka sięga już do kubelka z różgami).

Zdarzało się wówczas czasem, że delikwent in extremis wyrwał się zniemacka i trzeba go było potem przez parobków z wierzchołka lipy ściągać; zwykle jednak winowajca ścinał zęby i mówił pogardliwie wedle panującej wśród nas mody:

— Co pan będziesz gadał.. Różnij pan!

Rządca chrząkał wtedy i przedmuchiwał olbrzymie wąsiska.

— He?

Począł zwracać się szybko w stronę okna, gdzie korepetytor, z zielonym kajecikiem w ręku, słuchał tej rozmowy z ironicznym uśmiechem. (O łajdak!)

— Panie profesorze, a co się należy?

Od okna dolatywało suche:

— Piątka.

I pan Wróblewski rznął piątkę, że w niebie było słychać.

Począł, łagodnie już wypychając młodzieńca za drzwi, powtarzał sakramentalne zdania:

— No, po ojcowsku było... A idźże teraz, Miciu, pocałuj dobrodżikę w rękę, że cię uczy.

Młodzian szedł, pocierając dłońmi skrzywdzone miejsca, na ocieniony winem ganeczek, gdzie stryjanka, ucałowawszy mokre jeszcze ślepia, podsuwała mu czubaty talerz poziomek ze śmietanką, czy jagód z mlekiem.

— Jedz, jedz, kochanie, na zdrowie.. Od rana dla ciebie chowam.

Działo się nam w Dankowie cudownie.

Ledwie połknąwszy swój talerz poziomek czy jagód — pogodzony już ze światem i z własnym sumieniem — biegł skrzywdzony Micio czy Wicek do dzieciennego „wigwamu” obmyślać psie figie na następny tydzień. Ktoby tam o przyszłej sobocie pamiętał!

Stosownie do wieku i naukowych godności dzielił się na „malców”, „średniaków” i „starszych”. Życie malców kręciło się wkoło wydzierżawionego sadu i gry w Indjan, starsi grywali w tenisa o tygodniową pensję, zajeżdżali chabety fornałskie i strzelali kotne samice z wykradanej panu Wróblewskiemu fuzji, a średniaki — no, dla tych nie było wogóle nic świętego! Z właściwą u chłopaków lat 13 do 15 dzikością urządzali brewerje wprost niesamowite, litości ani wstydu nie znając wcale. Któregoś dnia upalnego, namówiwszy podstępnie żydów z miasteczka do kąpieli w stawie, wyciągali ich potem przy pomocy olbrzymiego wodolaza łapaja. Jednego z korepetytorów, co się pod kuchnię czeladną podkładał, złapał w żelaza, i tylko gruby but go od straty kończyny obronił. Wyjechał nazajutrz. Innemu mało oczu nie wypalili, dosypując prochu do papie-

rosów. Stangretowi Kubie, co się na nich stryjence poskarżył, podczas snu obcieli wspaniałe wąsiska, przedmiot westchnień wszystkich spółnic w okolicy; połowego Cianciarę za to samo sprali w kilku tak sumarycznie, że chłopisko tęgie i odważne unikało ich przecie, jak zarazy. Każdy „profesor” po tygodniowej próbie siły puszczał się z nimi w dyplomację, a i pan Wróblewski przystępował do egzekucji z pewnym wstrętem... Mile były chłopaki!

Wśród masy chłopczyków, tuliła się tylko jedna dziewczynka, Kazia, stryjenczna jedynaczka. Miała lat jedenaście, flegmatyczna była, gruba i niesłychanie obżarta. Nienawidziła jej wszyscy z całej duszy. Nawet malcy bawili się z nią nie chcieli, a i ona, przy swej flegmie i tuszy zdawała się nie dbać o to wcale. Całymi dniami laziła wśród nas jak senna mucha, obojętnie niby, a dobrze miarkując i bacząc, „co też te chłopczyśka znowu wyrabiają”. Każdego wieczora stryjanka i panna Lucja, gospodyn, miały przez nią najdokładniejsze relacje. Boże! jakieśmy jej nienawidzili! Tknać tego palcem nie było wolno, bo i stryjanka żartów tu nie знаła, a i pan Wróblewski „rznął” wtedy z pełnej ręki, sapiąc i przysgadzając z pasją:

— Na kobiety rękę podnosisz?! A masz! a masz! galganie! wisielcze! pokrako!

Unikaliśmy jej tedy, jak zapowietrzonej, przy wszystkich „kawalach” z góry przed nią czaty wystawiając. W razie zaś „wsypy” całe tygodniowe pensje szły na czekoladę, cukierki i pierniki dla tej jędzy. Dawała się, dzięki Bogu, przekupić. Przyjmowała łakocie z flegmą i powagą, jako należną daninę. Ale już siaki taki, co się właśnie za palenie papierosa opłacił, mógł być pewien, że przy stole, przed samą zupą nie odezwie się drwiący i obojętny głos z pod ramienia chudej panny Lucji:

— Mamusiu! A niechno Tadek chuchnie! Zo, baczysz mamusia.

Dotrzymywała umów dość statecznie.

Mimo jednak agryźliwego charakteru młodocianej Kazi, coś przecie z obcowania z chłopcami i do niej przylgnęło. Jakoś na początku lata jeszcze, usłyszawszy trafem przekomarzenie się Kazi z bitnym Mietkiem, stryjanka aż w ręce klasnęła ze zgrozy. Dziewczyśko kleło jak pijany fornał. Jezus, Marja! Na złożonej tegoż wieczora z panną Lucją naradzie, zdecydowały te panie natychmiast sprowadzić Francuzkę do Kazi dla „manner i języka”.

— Chłopaki też się czegoś przy niej nauczą — mówiła stryjanka.

(Zacna stryjenko! Wzorze polskich matron! Jakżeż było można.. tak lekkomyślnie..)

Uczyliśmy się tedy. Zamiast spodziewanej starej Francuzki zjawiała się dziewczyna młodzianka, lat może 17-tu, „prosto z klasztoru” a śliczna jak cukierek. (O stryjenko szalona!) Gdy nad wieczorem zajechał wolant przed ganek, cała licznie zgromadzona kolonia poprawcza wbiła w nią wzrok osłupiały, jak krowa w plot. Nikt nie drgnął, ani chrząknął. Bogowie! Dopiero gdy na wysokim stopniu pojazdu ukazała się nóżka w leciutkiej pończosze i wszyscy westchnęli jak na komendę, sama stryjanka z niepokojem przerwała niespodziewany czar.

— A ruszże się tam który!

I zaraz bezczelny Wacek od „starszych” malplemi ruchami zniósł prawie dziewczynę z wolantu, średniacy i malcy wszczęli srogie wrzaski i kuksańce o zaszczyt dźwigania pakunków. Wyrwawszy komuś letnią parasolkę, dojrzałem jeszcze, iż starszy Janek, syn stryjanki, co się właśnie na mature obciął, patrzył na manewry Wacka z obrzydzeniem. Więcej nawet. Zagwizdał tylko, obrócił się i poszedł.

Objeliśmy m-elle Julie w posiadanie.

Na mnie osobiście śliczna Francuzka zrobiła wrażenie olbrzymie; takie jak na Kolumbie Ameryka. Przejrzałem. Jako trzynastoletni, a dobry uczeń tuliłem się dotąd na pograniczu średniaków i starszych, sam o sobie wątpiąc, kędy przynależę właściwie. Widok pięknej Julji wahanie te usuwał. Uczulem odrazu, że „starszy” bez gadania.

Zaraz też, obejrawszy krytycznie własną garderobę, ujrzałem również, że „fletuch” i brudas. Bokami tedy, poza stajnią, rzuciłem się do naszej oficyny, żeby ściągnąć któremu co ładniejsze spodnie i krawaty. Niestety! ostrożność była zbędna. W oficynie szumiło już jak w ulu. Śród kłgów i

borykań pucowano się i czyszczono nagwał. W którymś kącie ze zgrozą dostrzegłem Tadka, jak rozebrany do pasa, szorował się mydłem — mydłem! — nad miednicą. O niezapomniany widoku! Zająrzawszy zato do szuflady, przekonałem się z bólem, że skradziono mi już jedyny stary krawat i połowę chustek do nosa. Poczzerwieniawszy z pasji, rzuciłem się w oś z zapamiętaniem...

Do kolacji stawiliśmy się w komplecie i bez opóźnień, jak nigdy. Boże, co tam były za stroje! Dworzanie królowej Dahomeju nie występują na uroczystych przyjęciach z takim szykiem! Stryjenka oglądała nas z milczącym przerażeniem. Szczególniej smarkacze, co wszystko małpować chcieli! Taki Wicek ukradł perfumy pannie Lucji i zlał się tak, że koszula była na nim mokra jak od potu, a sąsiedzi mimo heroizmu wytrzymać obok nie mogli. Cuchnął jak laboratorium. Kazano mu wstać od stołu ku powszechnej uldze.

Panowało zresztą przy tej kolacji milczenie srogie i przynębiające. Nikt oczu nie śmiał podnieść od talerza, chyba ukradkiem. Takim właśnie złodziejskim sposobem dojrzałem przecie, że i wಾಗrowaty korepetytor, pan Lisikiewicz z prawa, ma nowy krawat i czystość kołnierzyk. Ba! ku własnemu zdumieniu już dostrzegłem, że pan Wróblewski — sam pan Wróblewski! — podkreślając siwego wąsa, spogląda na Juljetkę plomienistym wzrokiem. Widziałem też w odpowiedzi na to ceglaste z pasji wypięki panny Lucji... Dalej nie widziałem nic, bom musiał właśnie pokazać język Kazi, która zerknęła ku mnie jak zwykle bezczelnie i drwiąco, dając do poznania, iż wie, gdzie raki zimują...

Zaraz też rozległ się jej przykry, konstatający głosik:

— Mamusiu! Julek wywalił mi całutki język, o — taki!...

Ba! Przykra to była niby kolacja i ponura, a słodka przecie nad wyraz! Aż parno było wkoło stołu od najgorętszych, bo niejasnych nadziei. Poszaleliśmy wszyscy, jakby nam kto blekotu zadał. Nawet spać zlegliśmy w milczeniu i bez bó, jak.

A zaraz nazajutrz rozpoczęły się rycerskie o Juljetkę harce. Już o świcie ktoś pościłał sztafemowe róże z przed ganku i przez otwarte okno na pierwszym piętrze powrzucał do pokoju panien. Francuzki i Kazi. Gruba Kazia, znalazłszy rano na koldrze pęk szkarłatnego kwiecia, otworzyła na oczy okragłe, jak karp. Nie rzekła zresztą nic. Nie poskarżyła się wcale. Zato panna Lucja wszczęła gwałt niesłychany. Biedna Julie ponso wiała sama, jak róża, i aż do leż. Stryjenka kiwała głową z wyraźnym już niepokojem. Winowajcy nie znaleziono. Młczeliśmy wszyscy „ja” grób mimo podstępnych badań pana Lisikiewicza. W cichości ducha jego samego o tę zbrodnię po- dejrzywałem. Taki był jakiś rozradowany... Waty otrzymał ktoś przez losowanie imion.

(DCN na str. 12)



Młode wilczki z Puszczy Białowieskiej



SPRAWY GOSPODARCZE



Ignacy Zajkowski

Kurs gospodarstwa wiejskiego

Zwalczanie chwastów

Zanim przejdziemy do rozważania dalszych zagadnień zastanówmy się nad kwestią tępienia chwastów i omówmy tą sprawę z osobna. Ze względu na swoje doniosłe znaczenie praktyczne całkowicie zasługuje ona na tego rodzaju potraktowanie.

O szkodliwym działaniu chwastów przekonał się napewno niejedyn gospodarz, tak że wszelkie argumenty, dotyczące tej materii, uważam za zbędne. Wystarczy nadmienić, że chwasty oprócz szkód bezpośrednich, wyrządzają nam jeszcze inne przykrości, gdyż hodują na sobie, szczególnie chwasty szerokolistne, najrozmaitsze choroby w postaci rdzy i innych grzybków, które wiosną i latem niszczą plon i powodują niedorozwinięcie nasion wskutek czego zwiększają ilość poślada. Zresztą każdy rolnik wie doskonale, że chwast — to wróg, a więc należy go tępić. Jednakowoż system i sposoby realizowania tej akcji nie są wystarczające i nie dają pożądanych rezultatów. Dlaczego? Zamiast odpowiedzieć chciałbym przypomnieć jeszcze raz, że walcząc ze wszelkim złem, musimy tępić przede wszystkim źródła tego zła. Leczeniem chorych zarazy nie zniszczymy: trzeba przeprowadzić szczegółową dezynfekcję oraz przyjąć jaknajwiększe środki ostrożności.

Dlatego też, chcąc prowadzić skuteczną walkę z chwastami, musimy niszczyć za-rodki ich powstawania i rozmnażania się.

Ogólnie rzecz biorąc, chwastem nazywamy każdą roślinę z tych czy innych względów niepożądaną w danym środowisku roślin. Chwastem może być każda roślina uprawna, rosnąca w niedogodnym dla nas miejscu. Jednak chwasty — rośliny uprawne nie są bynajmniej tak szkodliwe, gdyż plony ich możemy zużytkować na potrzeby gospodarskie. Oprócz tego nie mają one tak dużej odporności na środki wszelkiego rodzaju, którymi rolnik w czasach obecnych operuje. Nie znaczy to bynajmniej, że musimy na nie patrzeć przez palce i pobłażać. Jednak w czasie obecnym, kiedy maszyny do czyszczenia zboża (w postaci tryjerów, tryumfów i innych) osiągnęły wystarczający stopień, kiedy świadomość potrzeby czystości produktów rolnych, ze względu na wymaganą przez nabywców standaryzację, dochodzi do maksimum, zagadnienie niniejsze zostało całkowicie rozwiązane. Co do innego rodzaju chwastów, jak perz, osęć ognicha i t. d. — roślin oprócz szkody nie rolnikowi nie dających — dotychczas jesteśmy prawie bezradni. Przyczyny tego bądź co bądź przykrego objawu potrzeba szukać w dotychczasowym systemie prowadzenia walki.

Mieć szczegółowe dane o przeciwniku

— znaczy pokonać go. Dlatego też i nam rolnikom potrzeba, przynajmniej w ogólnym zarysie, zapoznać się z niektórymi cechami i właściwościami naszych wrogów — chwastów.

Celem lepszego zorientowania się podzielimy je na dwie zasadnicze grupy: chwasty długoletnie i jednoletnie.

Z powyższego podziału możemy łatwo wywnioskować, że walka z chwastami wieloletnimi nasuwa więcej trudności i zabiegów, niż z jednoletnimi, gdyż, o ile można się w ten sposób wyrazić, posiadają dwie głowy, t. z. rozmnażają się one z nasienia i z korzeni.

Typowym okazem i przedstawicielem chwastów wieloletnich jest perz (pyrnik). Rozmnaża się on przy pomocy nasienia i korzeni, zwanych rozłogami. Walka z nim jest bardzo uciążliwa. Nawet nieduży kawalek korzonka perzu, pozostały w roli, samodzielnie się rozwija i rozmnaża.

Perz niszczymy albo przy pomocy uprawy mechanicznej albo wyzyskując tak zwaną walkę o byt. Walka z perzem przy pomocy uprawy mechanicznej, w naszych warunkach, nie ma znaczenia decydującego, ponieważ stosowanie głębokiego przyorania perzu, co może być skuteczne przy posiadaniu traktora ewentualnie silnego sprzężaju, nie nosi charakteru realnego.

Wyorywanie perzu i wyciąganie go na wierzch przy pomocy drapacza ewentualnie kultywatora lub brony też jest niemożliwa, a to ze względu na krótki okres wegetacyjny, a więc z braku czasu. Wyjątkiem w tym wypadku mogą być: ugory, ogrody i kawałki gruntu przeznaczone pod sadzenie ziemniaków z zastrzeżeniem, że nawożenie obornikiem miało miejsce na jesieni.

Używanie bron bez pomocy innych narzędzi w celu niszczenia perzu, co się daje zauważyć przy „oczyszczaniu” ugorów po pierwszej orce, jest czynnością bezcelową a nawet szkodliwą, szczególnie w czasie suchym, kiedy ziemia jest przesuszona.

Wyzyskanie, w celu niszczenia perzu, tak zwanej walki o byt jest o wiele łatwiejszą czynnością, nie nasuwającą większych trudności.

Zwalczanie się tworów żywych, nie wyłączając ludzi, w przyrodzie, jest faktem znanym. Jak w świecie roślinnym tak i w zwierzęcym, każdy osobnik, każdy żywy organizm, stara się uzyskać jaknajlepsze warunki bytu i rozwoju w celu zachowania swojej rasy i cech. Pobudza do tego tak zwany instynkt samozachowawczy. Dlatego też, patrząc na te niewinne i warte roślinki, wprost nie chce się wierzyć, ażeby miały one tak dużo złośliwości i ekspansji zaborczej. Jednak obserwując życie roślin z całą pewnością zauważymy, jak surową walkę staczą one między sobą. Musimy zapamiętać sobie jedną za-

6)

sadę: wyzyskać wszelkie objawy i siły przyrody. Zakarbować to sobie muszą przede wszystkim rolnicy, jako ludzie najwięcej z przyrodą obcuający.

To też ułatwimy sobie zadanie, jeżeli walkę o byt roślin zastosujemy przy zwalczaniu perzu. W tym też celu wybieramy roślinę, odpowiadającą naszemu celowi oraz glebie zachwaszczonego kawalka roli. Jednym z główniejszych zadań tego rodzaju czynności będzie stworzenie jak najlepszych warunków rozwoju i wzrostu rośliny zwalczającej.

Akcie tępienia chwastów jednoletnich dzielimy na: walkę na roli przy pomocy narzędzi służących do uprawy mechanicznej oraz niszczenie źródeł powstawania i rozmnażania się.

W pierwszym wypadku będziemy mieli za zadanie niszczenie chwastów podczas wzrostu w celu zapobiegania szkodliwym wpływom na rośliny uprawne. Do tej czynności doskonale nadaje się bron. Bronowanie roślin po weźściu ma na celu nie tylko magazynowanie wilgoci, o czym była mowa przy uprawie mechanicznej roli, ale i niszczenie chwastów. Bronowanie nie znosi szczególnie ognicha (swiępica), będąca w wieku młodym. Drugim z kolei narzędziem jest opelacz, mający jednak tę wadę, że nie w każdym wypadku możemy go użyć, a to ze względu na rozpowszechniony siew rzutowy. Ponieważ w latach ostatnich granice przestrzeni uprawy buraków cukrowych zostały znacznie poszerzone a brak robotnika odczuwa się dość dotkliwie — opelacz, w tej dziedzinie, może nam okazać szczególną pomoc, jeżeli buraki są siane na „plask”. Wreszcie motyki — rzeczy bardzo tanie i dostępne każdemu rolnikowi, doskonale nadają się do tępienia chwastów w ogrodach oraz przy uprawie okopowych, jak marchwi i buraków.

Niszczenie źródeł powstawania i rozwoju chwastów jest najważniejszym momentem przy zwalczaniu tych szkodników. Jak już wspominałem wyżej, niszczeniem chwastów rosnących, celu pożądanego nie osiągniemy, a jeżeli i tak, to tylko na pewien, zresztą bardzo niedługi, okres czasu. Znanym jest fakt, że nawet po najbardziej szczegółowym wytepieniu chwastów, pojawiają się one, po stosunkowo krótkim czasie, w tej samej, a czasem w większej ilości. Skoro tak jest, więc musimy zastanowić się i poszukać tego źródła powstawania, bo przecież chyba nikt nie wątpi, że samo przez się nie w przyrodzie nie powstaje. Domyśleć się nie jest tak trudno. Wiedząc o tem, że chwasty jednoletnie mogą się pojawiać i rozmnażać tylko i wyłącznie z nasienia — nie dopuścić do dojrzewania takichowych i sprawa skończona. Jednakowoż w praktyce wygląda to nieco inaczej.

Zapobieganie dojrzewaniu chwastów ma swoje bezsprzeczne znaczenie, jednak całkowicie kwestji nie rozwiązuje, gdyż nie w każdym wypadku będziemy mogli ten zabieg stosować. Mam tu na myśli drobne chwasty, rosnące np. w życie owsie i t. d. Możemy i musimy to zastosować do

Z praktyki gospodarczej

Pomysłowe chomonto. Pismo „Deutsche Landw. Presse” donosi o godnym uwagi wynalazku w zakresie uprzęży na konie. Mianowicie pewien Szkot obmyślił i sporządził uprząż, w której chomonto zrobione jest jako wydrażona rama stalowa, w której leży dętka gumowa, odpowiednio dopasowana. Po wierzchu chomonto jest obciągnięte skórą. Dętka zaopatrzona jest w wentyl i może być napompowana pompką rowerową. Bez wątpienia jest to świetny pomysł. Chomonto takie nie może ugniatać, nie potrzebuje podkładek z filcu lub włosienia i stosuje się do mięśni i ruchów konia. Pomysłowy Szkot nazywa się Mr. Cubbing. Stosuje on swoją zasadę także do poduszek gumowych do siodeł, z wielkim powodzeniem.

Brodawki na strzykach u krów

Brodawki na strzykach u krów wygubić można następująco: Krowom z brodawkami przydzielić osobną obsługę; gdy się krowy zapuszczają, wezwać lekarza, który brodawki usunie; w czasie dojenia krów usuwanie brodawek jest zawsze trudne lecz możliwe np. zapomocą podwiązywania, skoro odstają od skóry, lub nacierania brodawek zwilżonym kryształkiem siniego kamienia. Po leki umyślnie do tego celu należy zwrócić się do najbliższego lekarza wet.

Oryginalny sposób zmiany matek pszczelich. Pewien australijski pszczelarz doradza zamienianie matek pszczele w taki

sposób: matkę, którą się ma zamienić odnajduje się i zabija; następnie bierze się niewielką torebkę z cienkiego papieru, w którym robi się kilka małych dziureczek; w tę torebkę wkłada się nową matkę, a później, z ula, w którym dokonujemy zmianę matki, bierzemy kilka młodych pszczoł i również umieszczamy w tej samej torebce, którą wkładamy pomiędzy ramki; matka i tych kilka młodych pszczołek starają się wydostać z torebki z niewoli; młode pszczołki muszą karmić matkę i jednocześnie zwiększają otwory w torebce i ułatwiają wyjście matki. Zwolniona takim sposobem matka bywa chętnie przyjmowana przez niedawno (kilka minut) osieroconą rodzinę. W tak krótkim czasie pszczoły nie zdążą złożyć mateczników, a matka, będąc przedko zwolniona, rozpoczyna czerwienie. Do ula trzeba będzie zajrzeć po 4 dniach, ażeby przekonać się, czy wszystko jest w porządku („Pszczelarz Polski”, podług „Pczelowodstwa”).

Nie pozwól cieleć na obliźywanie ścian! Niejednokrotnie cielecia chorują z tej przyczyny, że liżą ściany i zatrują się saletrą, którą stare mury wydają ze siebie, jakby wypocinę. Aby temu zapobiec, trzeba mur oszalać deskami, jednak nie do spodu, a to ze względu na szczury. Dołem należy zostawić 30 cm wolnego muru.

Choroby kopyt, a pasza. Nie każdemu wiadomo, że choroby kopyt u koni są w

związku z paszą. O ile konie są kute, a nie dostają owsa, tylko jęczmień lub inną paszę, kopyta kruszą się. Każda zmiana paszy odbija się na kopycie, można to poznać na niem po pierścieniach i nierównościach. Pasza owsiana przyspiesza narastanie nowego kopyta. Środkom handlowym zalecanym do tego celu, ufać nie należy.

Nakrywać konie w dnie słotne i zimne. W sprawie tej znajdujemy w „Deutsche Landw. Presse” notatki, nawołujące do szanowania zdrowia koni przez nakrywanie ich derami w dnie dżdżyste, wietrzne i mroźne — a szczególnie koni ciężko pracujących.

Jeden z rolników niemieckich podejmując tę ważną sprawę podaje sposób zarządzania nakrycia dla koni we własnym zarządzie nie narażając kieszeni rolnika na większe wydatki. Poleca więc, po wypraniu, worki z nawozów sztucznych zeszyć (po dwie sztuki razem) tak aby dobrze do siebie pasowały. Górną powierzchnię jednego z worków należy nasycić olejną farbą. Powieszono w przewiewnym miejscu worki wyschną szybko. Na czterech rogach tak przyrządzonej dery przywiązuje się następnie dość mocne sznurki aby w dnie wietrzne można ją było do uprzęży konia przymocować. Aby uniknąć przywłaszczenia sobie lub zamiany worków przez poszczególnych woźniców, znaczy się je farbą olejną.

Uwagi te są tembardziej na czasie, że jak dowiadujemy się od jednego z naszych czytelników, koń nader wartościowy zachorował w drodze w dzień bardzo wilgotny i zimny. Mimo pomocy weterynaryjnej zdechł po paru dniach na zapalenie nerek, którego nabawił się właśnie z powodu zaziębienia.

Kiedy najlepiej zmieniać matki pszczele? Wybitny hodowca matek pszczele Allen Latham jest przeciwny zmianie matek pszczele na wiosnę, natomiast twierdzi, że najlepszą do tego porą jest połowa września, dlatego, że te matki tak się nie wyczerpują, jak matki sierpniowe i na przyszłą wiosnę czerwiją bez przerw. Najgorszym zaś do zmiany matek jest miesiąc czerwiec. Twierdzi Allen Latham, że 99% pni, mając matki czerwcowe, roją się wściekle w przyszłym roku („Pszczelarz Polski”).

Wiadomości bieżące

— **Zwiększenie arealu pod lnem w Litwie.** Prasa kowieńska podaje, że w r. b. obszar pod uprawą lnu i konopi wyniósł w Litwie 92.000 ha. Jeśli dane te, choć w przybliżeniu, odpowiadają prawdzie, to mamy do czynienia z ogromnym wzrostem arealu pod lnem i konopiami, który w roku 1934 wynosił zaledwie 60.700 ha, w r. 1933 — 54.700 i w r. 1932 — 42.700 ha. Litewskie Ministerstwo Rolnictwa tegoroczne zbiory lnu ocenia na 36.800 t. wobec 25.700 t. w r. ub.

chwastów bujnie rosnących i występujących w niedużych ilościach (oset) oraz do tych, które rosną na ziemi nieuprawnej (rowy przydrożne, rogi pól o ostrych kątach, przy płotach, krzakach i t. d.). Są to bardzo nieduże kawaleczki gruntu, w dodatku porożrzucane, więc gospodarz zwykle, kierując się oszczędnością czasu, nie chce sobie zadawać fatygi i zajmować się podobnego rodzaju drobnostkami. Jak dogodne warunki rozwoju i wzrostu mają chwasty rosnące poza obrębem roślin uprawnych świadczy ten fakt, że nawet bydlę na jesieni chodzi udekorowane najrozmaitszymi ich odmianami, z pośród których na szczególną uwagę zasługuje „dzia downik”.

Widzimy więc, że niszczyć chwasty wśród roślin uprawnych, pozwalamy im, ze spokojnem sercem, rosnąć i rozmnażać się na uboczu, bo przecież tam nie nie siedliśmy i nie sadziliśmy. Jednak należy pamiętać, że nasionka chwastów nie zawsze obsypują się przy pnie macierzystym: wiatr, woda a poniekąd i ptactwo oraz inne czynniki, których tu nie sposób wymienić, roznoszą je i rozsiewają po polach naszych i sąsiadów. Dlatego też naszym świętym obowiązkiem, oprócz innych zabiegów, skaszać wszelkie siedliska chwastów. Znam kraje, gdzie nie wykonanie powyższych zabiegów powoduje kary admistracyjne.

Pomimo jednak naszych zabiegów i starań, t. zn. jeżelibyśmy wszystkie wyżej wspomniane czynności wykonali z jaknajwiększą dokładnością, musimy przyznać ze smutkiem, że pewna część chwastów

dojrzeje w środowisku roślin uprawnych, zostanie skoszona i zwieziona do stodoły. Jakim więc sposobem trafi z powrotem na pole? Wystarczy przyrzeć się tworzeniu się obornika a wszelkie domysły będą zbyteczne.

Dlatego też przy żywieniu bydła i podścielaniu obory czy też chlewu musimy zawsze pamiętać o chwastach, których nasionka są tak wytrzymałe na wszelkiego rodzaju niewygody, że potrafią, leżąc kilka lat w oborniku, zachować siłę kiełkowania. Przewód pokarmowy bydła też nie zawsze sobie daje radę z nasionkami chwastów. Największe skupienie chwastów znajdujemy w odchodach i resztkach pasz w żłobach (jaślach, karmuszkach). To też te rzeczy musimy użytkować z jaknajwiększą ostrożnością. Odchody w postaci odpadków musimy niszczyć albo wyspywać do miejsc izolowanych, w których podaje się je kilkuletniemu procesowi gnicia.

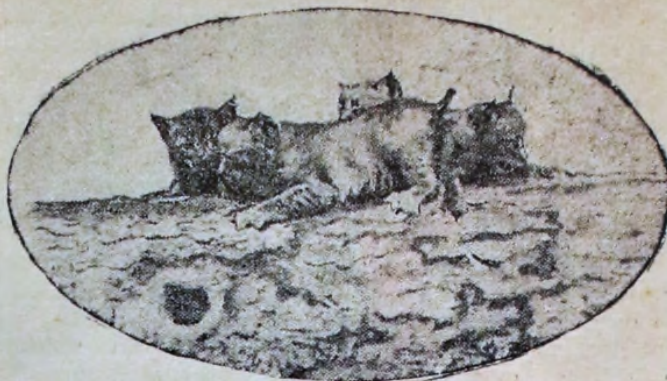
Odchody „arfy” w postaci pośladu oraz plew (miekin) musimy zgrabić zaparzanym wrzatkim, wskutek czego chwasty zostaną albo zabite, albo osłabione tak dalece, że nie potrafią się oprzeć działaniu przewodu pokarmowego zwierząt domowych.

Reasumując, musimy przewidywać, że pewna ilość chwastów jednak dostanie się do obornika a z nim i na pole.

Jedynym środkiem w tym wypadku będzie płytkie przyoranie obornika i po wejściu chwastów dokładne wybronowanie.

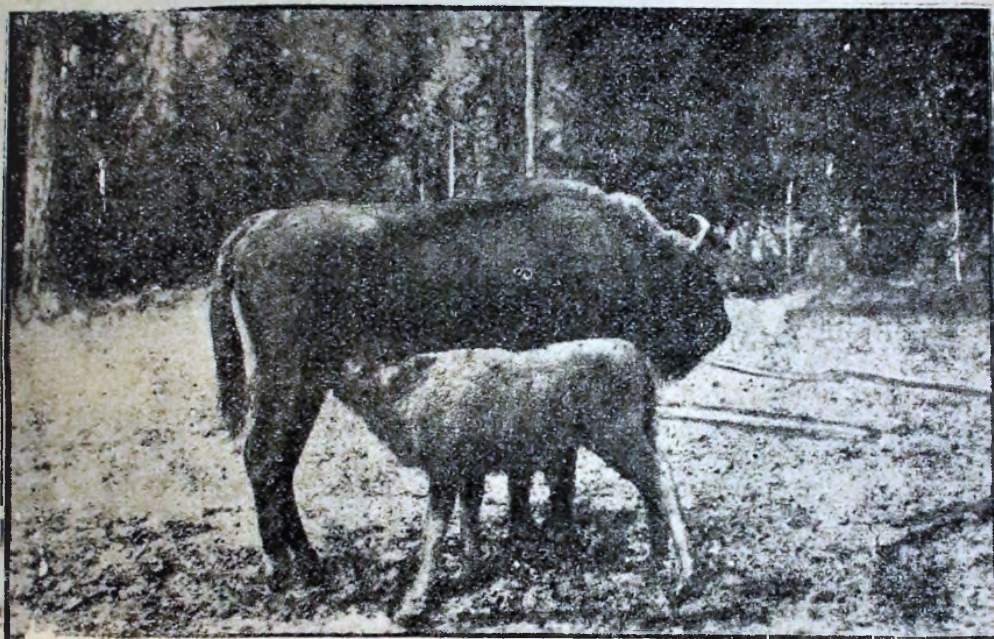


W królestw w Puszczy



Młode rysie

U dołu: Podwieczorek młodego zubrzątka



Wejście do Parku



Olbrzymie „wywroty” drzew powalonych przez burzę

Powstanie kalendarza

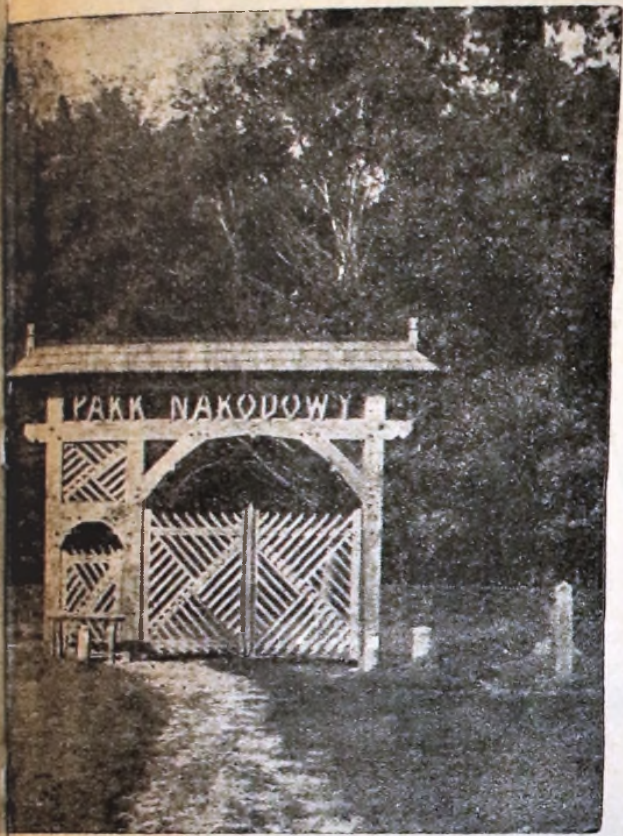
Rok księżycowy

Gdy z rozpoczęciem nowego roku bierzemy do rąk kalendarz, bez cienia sprzeciwu przyjmujemy zawarty na jego kartkach podział czasu. Nie zastanawiamy się nad tym, w czym leży przyczyna odwiecznego rytmu, który ujmując upływające chwile w dni, tygodnie i miesiące, i jaki był początek rachuby czasu.

Kalendarz — siłą przyzwyczajenia — stał się dla nas przedmiotem tak znanym i zwykłym, że treść jego stanowi poprostu zewnętrzny nakaz, któremu podporządkowujemy się wygodnie i bez żadnych rozmyślań. Wyzbyliśmy się także niemal zupełnie przesądów i wierzeń w dnie pomyślne, szczęśliwe lub grożące niepowodzeniem, skoro tylko przestaliśmy pamiętać o tem, że kalendarz powstał na zasadzie badań astronomicznych. Rzecznikiem rachuby czasu stał się księżyc.

U starożytnych Greków rok, liczony według zmian księżyca, składał się z dwunastu miesięcy, które miały naprzemiennie po 30 albo 29 dni, liczył zatem razem 354 dni. Początek roku przypadał po letnim przesileniu dnia z nocą, czyli z końcem czerwca. Ponadto dla wyrównania roku księżycowego ze słonecznym, który był krótszy o 11 dni, wtrącono w każdym okresie ośmioletnim trzy miesiące po trzydzieści dni. Wobec tego w okresie tym pięć lat miało po dwanaście miesięcy, a trzy — po trzynaście. Lata liczyli Grecy według czterolatnich okresów, w których odbywały się igrzyska olimpijskie.

ie Zubra zy Białowieskiej



arodowego w Puszczy Białowieskiej



Obłrzy 400-letni ga.

za

i rok słoneczny

W Rzymie przyjęty był aż do czasów Juliusza Cezara rok księżycowy — podobnie jak w Grecji, który jednak składał się pierwotnie z dziesięciu miesięcy. Sześć z nich miało po 30 dni, a 4 po 31, co stanowiło razem 304 dni.

I tu jednak rozbieżność między rokiem księżycowym a słonecznym stwarzała konieczność wprowadzania poprawek, w wyniku których w okresie czteroletnim tylko dwa lata posiadały równą ilość dni: po 355, jeden zaś — 378 i jeden 377. Rok zaczynał się wówczas 1 stycznia.

Jednolity podział czasu ustanowiony został dopiero za Juliusza Cezara. Rok 709 od założenia Rzymu, czyli 45 przed Narodzeniem Chrystusa, był pierwszym rokiem rachuby astronoma Sosigenesa, którego Cezar sprowadził z Egiptu. Egipski rok słoneczny o 12 miesiącach, 365 dniach i 6 godzinach dłuższy był od prawdziwego słonecznego roku o 11 $\frac{1}{4}$ minut. Z biegiem stuleci różnica ta zsumowała się w cyfrę kilkunastu dni, o które przesunął naprzód rachubę czasu papież Grzegorz XIII, reformując w XVI wieku kalendarz juliański. Kalendarz Cezara zachował się do dziś u narodów należących do kościoła wschodniego — inne przyjęły naogół „gregorjański” czyli poprawiony.

Rzymski tydzień liczył dni osiem. Pierwszy dzień w tygodniu — w odróżnieniu od roboczych — wyznaczony był jako jarmarczny. Tydzień siedmiodniowy nastał dopiero później (za cesarza

Konstantyna), kiedy religia chrześcijańska zdobyła przewagę w świecie starożytnym.

A teraz, skoro już poznaliśmy genezę rachuby czasu i przemiany jej systemów, jakie stosowano w ciągu długich wieków — zastanówmy się, od czego pochodzi sama nazwa tej książeczki, która przynosi nam ustalony podział roku.

W starożytności nie wystarczało tak, jak obecnie robimy, zajrzeć do kalendarza, aby ustalić jakąś datę. Wiedza tajników faz księżyca, czy słonecznego roku i rachuba czasu były udziałem kapłanów. W Rzymie arcykapłan zwoływał lud na początek każdego miesiąca i ogłaszał jego długość oraz jego przypadające święta. W języku greckim „kaleo” znaczy „zwołuję”, stąd po łacinie pierwszy dzień w miesiącu zwał się „Calendae”, a księga, w której zapisywano rachunki dni, święta i odmiany księżyca, nosiła miano „Calendarium”.

W Polsce? Samodzielnie układane kalendarze astronomiczne powstały w XV wieku, kiedy akademja krakowska pozyskała katedrę astronomji i astrologji. Profesor bowiem obu tych przedmiotów obowiązany był składać akademji kalendarz przez siebie ułożony.

Myliłby się jednak ktoś, koby sądził, że do zadań profesora astronomji i astrologji należało tylko ustalenie rachunku dni i świąt w przyszłym roku.

Ważną przecież czynnością było podanie przepowiedni meteorologicznych. Istniały ponadto dni szczęśliwe i pomyślne nawet dla najprostszych czynności ludzkich. Innym dni, feralnych, należało unikać i nie załatwiać wtedy spraw poważnych. Jeszcze po dziś dzień pokutuje wśród niektórych przesąd, że najlepiej jest strzyć włosy na nowiu, bo rosną wówczas wraz z księżycem.

Na przepowiednie więc gwiazdziarskie oczekiwali wszyscy, znajdując w nich receptę na doznane niepowodzenia i z ich pomocą dążąc do osiągnięcia pomyślności życiowej. Wszelkimi i zawarte w

nim planety utraciły wprawdzie dawne znaczenie potęg boskich, ale nadal jeszcze królowały nad ówczesnym chrześcijańskim światem, napelniając nieraz grozą zabobonne ludy. Z czasem wprawdzie sami astronomowie przestali wierzyć w nieomylność wróżb i przepowiedni, ale nie osłabiali wiary ogółu w obawie utraty zysków, których nie mogła im zapewnić mniej ceniona nauka.

Ale już w XVIII wieku do wydawnictw kalendarzowych, wypełnionych uprzednio wróżbami o szczęściu i pogodzie, wprowadzone zostają informacje w aktualnych sprawach z kraju i zagranicy. Skolei przychodzą do głosu praktyczne wskazówki i sposoby domowego leczenia, popularyzacja nauki, historii i geografji, rozpoczyna się tępienie przesądów. Omawianie zagadnień i aktualności politycznych, a potem i społecznych (np. kwestja pańszczyzny) wyrugowują z czasem dawne „prognostyki” czyli przepowiednie astrologiczne.

Skoro sobie jeszcze uprzytomnimy, że kalendarz, podobnie jak książka do nabożeństwa, wciśkał się tam, gdzie często nie docierało nawet żadne inne słowo drukowane — zdamy sobie sprawę z jego znaczenia i wpływu w ówczesnym świecie.

Ale i dziś, chociaż daleko odbiegliśmy od tych czasów, nieraz z zadowoleniem witamy bogate w treść kalendarze, jakimi nas obdarzają niektóre wydawnictwa lub stowarzyszenia.

Zwyczaj i tradycje, przedziwnie elastyczne wobec zmieniających się kanonów polityki i religji, trwają często dłużej niż przepisy prawne, których wykonanie gwarantują przemijające potęgi ziemskie.

Dlatego w dniu, w którym witamy uroczyste początek Nowego Roku, musimy przypomnieć, że powtarzamy tylko zwyczaj starożytnych Rzymian, którzy na cześć boga wszelkich początków Janusa obchodzili dzień 1 stycznia, składając sobie nawzajem życzenia i upominki.

Dziesięciolecie śmierci Reymonta

Pomnik Lipiec dla autora „Chłopów”

Akcja „Chłopów” dzieje się w Lipcach, nie w anegdotycznych Lipcach, ale w prawdziwych, żywych, położonych w pow. skierniewickim, na terenie dawnego Księstwa Łowickiego.

Reymont mieszkał w Lipcach. Stoi do dziś domek kolejowy, który służył Wielkiemu Pisarzowi za miejsce wypoczynku po trudach urzędowania. Reymont był urzędnikiem kolejowym, t. zn. dozorcą drogowym. Nim osiadł w Lipcach, przemierzył kawał świata, wędrując po Polsce m. in. z wędrownym teatrem, w którym występował jako aktor. Nawet miał zamiar zostać zakonnikiem i w tym celu już odbywał nowicjat. Uczyć się w szkołach nie chciał. Rodzice mieli z nim niemało kłopotu — chadzał zawsze swoimi drogami. Na kole też nie było z niego pożytku i wkrótce pożegnał się ze swoim urzędem. Przybył do Warszawy. „Chłopów” napisał częściowo we Włoszech, a częściowo we Francji, dokąd wyjechał po katastrofie kolejowej, jaka się wydarzyła pod Rogowem.

Dzięki „Chłopom” rozślawił Reymont Lipce, wieś wtedy zwykłą, jak wszystkie inne. Domek kolejowy jest tuż przy wiosce. Tor kolejowy biegnie po lipieckich polach, przecinając wieś.

Naprzeciwko domu Reymonta piętrzy się wysoka góra, skąd wieś całą widać, jak na dłoni: cmentarz akacjami i lipami wysadzony, brzęczący od pszczoł w czas okwitów tych drzew, odmawiających pacierze za umarłych; kościół duży na wzniesieniu, z dużych glazów polnych wymurowany, lipami letniemi okolonny, spośród których smagły wierzchołek wieżycy ku niebu występuje; staw gromadzki i wokół niego w zieleni rzadka rozsiadłe chałupy białe pobielone; ku zachodowi pnie się wieś pod wzgórze; na prawo i lewo lipieckie kolonie. Reymont nieraz — jak mówią starzy — chętnie rozglądał się z tej wysokiej góry i radował serce niezrównanym pięknem krajobrazu. Ale wówczas był inny widok: wieś zwalała się wokół stawu chałupa przy chałupie; wokół stawu wila się droga, drzewami obsadzona, przy wejściu do wsi od strony kościoła rozsiadła się karczma. Poza wsią wyla się pola, polka, szachownica poprzecinane, rozrzucone na wielkiej przestrzeni, rozdrobione. Reymont w wolnych godzinach zachodził do wsi — upodobał sobie te Lipce. Miał tu wielu przyjaciół, do dziś go jeszcze pamiętających. Ale obecnie Lipce się zmieniły i zmienili się ludzie w Reymontowskich Lipcach. Żyje sobie rodzina Borynów w sąsiedniej wsi — ludzie to i owo opowia-

dają o niektórych bohaterach „Chłopów”. Lipce poszły na kolonie — z jednej wsi sześć powstało. Chałupy pokucaly rzadko w ogrodach, swobodnie, bez ocierania się jedna o drugą — jak dawniej bywało. Stare Lipce ostały. Gromada staw uporządkowała, zarybiła i oddała w dzierżawę, a dochód z niej przeznaczyła na wspólne, ważne potrzeby. Miodnemi drzewami w kształcie alei staw obsadzone — zrobiła to młodzież. Gromada wydarła wodzie część ziemi — powstał plac gromadzki, a obok niego park gromadzki i porządna droga. Przy stawie rzadko dumają chałupy. Przy placu gromadzkim stoi siedmiooddziałowa szkoła powszechna, narazie mieszcząca się w trzech budynkach. Tuż przy drodze, przy budynku dawnej karczmy, wystawiono pomnik Kościuszki. W pobliżu sklepy spółdzielcze.

Dzisiejsze Lipce — to wieś uspołeczniona. Rozwija się ruch spółdzielczy — udziałowcami spółdzielni są wszyscy gospodarze. Młodzież się organizuje, czyta pisma i książki, uprawia przy-

spობienie rolnicze, kształci się i podnosi wieś gospodarczo, społecznie i kulturalnie. Wieś rozumie potęgę wspólnego wysiłku i swoje interesy zalega o interesy sąsiednich gmin, powiatów itd. W ten sposób Lipce budują lepsze jutro. I to stanowi wielką różnicę między ludźmi Reymonta i ludźmi dzisiejszych Lipiec, że ci ostatni patrzą poza swoje podwórko, zagon, miedzę, wieś, parafję, gminę, powiat. Taka zmiana — to korzystna zmiana.

Te właśnie Lipce Reymontowskie, Lipce uspołecznione, dla zachowania i uczczenia po wieczne czasy pamięci wielkiego pisarza, chcą mu wzniesić pomnik godny, niebyłajaki: wybudować wspólnymi siłami wspaniałą gmach siedmiooddziałowej szkoły powszechnej i nazwać ją imieniem twórcy „Chłopów”. W szkole będzie sala i muzeum pamiątek po Reymoncie.

Pomnik godny Reymonta i godny dzisiejszych Lipiec.

Sukcesy i tryumfy

Doroczna wystawa radjowa w londyńskiej „Olimpii” ma sukces niebywały, gazety poświęcają całe szpalty na zdjęcia eksponatów i długie sprawozdania, trzy tysiące osób przewala się co godzinę przez olbrzymią halę, zamówienia syją się jak z rogu obfitości.

Cudów i dziwów jest więcej niż w bajce dla młodzieży. Siedzą sobie dajmy na to wygodnie przy kominku, naciskacie od niechcenia czarny guzik i aparat radjowy sam znajduje najmocniejszą, najlepszą stację nadawczą, nastawia się na nią i odtwarza precyzyjnie dźwięk i głos. Nie podoba nam się program? — Znow naciskacie guziczek i odbiornik „szuka” dalej... Marconi wystawił metalowego „robotę”, który głosem głębokim odpowiada na proste pytania i udziela informacji.

Największy jednak dziw i cud w obecnych smutnych czasach to chyba owa cyfra na wielkiej wstędze nad głowami tłumy: 7 milionów 119 tysięcy licencji radjowych! Odbiornik w każdym domu!

Młoda radjotechnika bije wszędzie rekordy, jej

obroty roczne — w samej Anglii — przekraczają 30 milionów funtów, ilość zatrudnionych w tym nowym przemyśle pracowników sięga stu tysięcy, ludzie, którzy jeszcze wczoraj mieli mały warsztat w podwórku (stróż wskaże), dziś budują imponujące fabryki, dają chleb i pracę setkom inżynierów, techników, monterów, mechaników. I cyfry wciąż jeszcze rosną: w zeszłym roku przybyło 750 tysięcy abonentów, sprzedano pół miliona aparatów wielkich, lampowych i ileś tam mniejszych, — oprócz robotników, wytwórców żyje ze sprzedaży odbiorników w jednym tylko kraju z ćwierć miliona kupców, akwizytorów...

Radio, elektrotechnika zdobyły w ostatnich latach szturmem nawet. Wschód tajemniczy, łamowie tybetańscy podpisują z dostawcami europejskimi kontrakty, w których nasze skromne wynalazki noszą kwiecistą nazwę „magji białego czio-wieka”. W Indiach prastarych i w Japonii potężne fale elektromagnetyczne spełniać muszą zadania, rozwiązywać kwestje epokowe, o których się napewno nie śniło w snach najbardziej gorących, ani Hertzom, ani Marconim, ani fizykom,

(DCN ze str. 9)

Ogarnęła nas też odrazu chwalebna żądza wiedzy. Szczególniej malcy z całą naiwnością dopominali się u stryjki o lekcje francuskiego. I uczyli się naprawdę. Zapanaowała wśród tych gluptasów jakaś moda miłości, jak przedtem moda gry w ekstre. Po tygodniu zamiast zwykłej przysięgi „jak Boga kocham” kleili się z całym cynizmem „Jak Julję kocham”. Bili się przytem w piersi z przejęciem, aż Łucja bladła ze złości...

Średniaki zabiegali nietylko o regularne lekcje, co o okazje do konwersacji. Rzecz można, iż banda ta nie odstępowała Juljetki ani na chwilę. Poza mną nikt tam nie mówił po francusku, ale i nikt też o to nie dbał. W partii tej każdy starał się nie o to, by coś usłyszeć, lecz raczej aby innemu nie dać. Słyszano się tam często ponure: „Zaczekaj, pokażę ci później...”

Albo też się bili, albo urządzali wspólnie (zawsze wspólnie) coraz to nowe dla Juljetki przyjemności... To rwanie żydowskich malin, to łowienie raków, to kawkady na fornalskich cha-betach, to olimpijskie igrzyska... Któregoś dnia dali ucztę (lody z kradzionej pannie Łucji śmietanki) na stawie, zbudowawszy w tym celu włas-norecznie ogromną tratwę. Tratwa zaraz poszła na dno w środku stawu. O mało nie utopili przytem Francuzki i Kazi. Pannę Julję uratował od nie-chybnej śmierci maturzysta — Janek, rzuciwszy się wpław bez namysłu. Doniósł ją zato, mokrą i „zemdloną” do samego domu. (Do dziś mam wrażenie, że te właśnie zbawcze przenosiny usta-liły późniejsze Jankowe tryumfy).

„Starsi” zachowywali się odrazu bezwzględnie powściągliwiej. Rozumiejąc dobrze, że w tej woj-nie wszystkich przeciw wszystkim, na czujnych oczach tłumy, nie się użykać nie da, oczekiwali

okazji z wytrwałością i uporem. Czekali nieraz po dni kilka, by wyrzec pięć wyrazów. Było ich trzech: bezczelny Wacek, starszy „stryjenczyn” Janek, Felek z szóstej — i o dziwo! przyłączył się do nich teraz i pan Lisikiewicz. Ci sobie tylko deptali po piętach. Panu Lisikiewiczowi było naj-trudniej, bo musiał dbać i o powagę. Śmieli mu się też wszyscy w nos.

Zdumiało nas wszystkich szczególnie w tym czasie zachowanie Kazi. Ten apatyczny i jado-wity grubas zmienił się nie do poznania od przy-jazdu Juljetki. Nie było już mowy o poprzednich niesmacznych skargach i denuncjacjach. Gruba Kazia przyklepiła się do Francuzki jak mucha do miodu i śledziła nasze manewry okiem raczej życzliwym. Szeptom i śmieszkom wychowawczy-ni z pupilką nie było końca (nie wiedzieć w jakim te panie porozumiewały się języku...) Kazia stała się szafarką łask. Od niej z natury rzeczy zale-żało, kto dziś pójdzie „z nami” na spacer, ona jedna znała rozkład dnia pięknej Julji co do mi-nuty. Nie zrzekała się przytem łapówek. Tylko za czekoladę i cukierki dawano się ugiąć do żelazne sumienie. Zrzurowała też malców i średniaków w ciągu miesiąca kompletnie. Z rozpaczyny jęła ta banda zgrywać się między sobą: mądrzej się w „sześćdziesiąt sześć”, głupszy wprost w „baka”. Oszustów i niewypłacalnych „prano” bez litości. A gruba Kazia jadła. Zjadła w tym czasie cały sklepik rudego Ajzyka.

Panna Julja zaś, piękna Juljetka — oszalała wraz z nami. Tylko oszalała gruntownie. Bo i jakżeż tu było nie oszaleć, dostawszys się prosto z klasztoru w taką zgraję chłopczyków? Cho-dziła w blasku i uwielbieniu, jak królowa z bajki. Toć już nietylko kolonja poprawcza, ale i pan Li-sikiewicz dostał wyraźnego bzika! Ba! Toć pan

Piotr Chojnowski

Kij w

Wróblewski miał też dla niej względy jak dla ni-kogo! Trzeba było przecież coś zrobić, trzeba było wybrać! Orientsowała się odrazu w stronę „star-szych”. Wyprawy ze „średniakami” były tylko sprytnie układanym podczas szeptów z Kazą pa-ranem istotnych flirtów. Juljetka promieniowała jak słońce i piękniała co dnia. Panny Łucji bała się zresztą jak ognia, a o stryjence zdaje się, nie myślała już wcale ze strachu. Zagadnieniem ży-cia było tu, kogo ze „starszych” wybrać? Kogo wybrać? Boć wybrać kogoś trzeba było koniecznie.

Po miesiącu też sytuacja zaczęła się wyjaś-niać. Malcy i średniaki, zmęczeni miłosną mo-notonią, wracali pomalu do gry w ekstre i do dzi-kich kawałów.

Wągrowaty pan Lisikiewicz dąsał się, pienił, był wściekły. Robił najgłupiej w świecie lodowatą obojętność. Mścił podczas „wałów” i w czasie lekcji. Grubiański Felek z szóstej wrócił do fu-żji, do wieczornych wypraw ku wsi gospodar-skiej. Miał tam, widać, interesy. Na widowni zostali tylko: bezczelny Wacek i starszy Janek.

Co do mnie, dusza moja pełna była melan-cholji. Nie ludziłem się. Pojąłem jasno, iż nie dość czuć się starszym — trzeba mieć jeszcze lat przynajmniej szesnaście. Inaczej kobiety trak-tują lekceważąco i jeśli całują, jeśli nawet całują,

Czy lekarzowi wolno zabijać?

Liga prawa do śmierci

W Anglii powstało towarzystwo wybitnych lekarzy, którzy rozwijają akcję za bezbolesnym zabijaniem chorych nieuleczalnie.

Wybitni lekarze królestwa brytyjskiego zebrał się aby utworzyć „Ligę prawa do śmierci”. Chodzi o to, aby zabicie osoby nieuleczalnie chorej, której już nic nie pomoże, było takim samym obowiązkiem lekarza, jak leczenie. Zwolennicy tego ruchu mówią, że obowiązki lekarza są trojakie: nie dopuścić do choroby, leczyć chorobę, a gdy to już nie jest możliwe, wówczas skrócić cierpienie przez bezbolesną śmierć.

O uznanie przez prawo

Nowo utworzone towarzystwo dążyć będzie do tego, by ten trzeci „obowiązek lekarski” uznany został przez państwo. Opracowano już projekt

nowego prawa, które ma być w najbliższym czasie przedłożone rządowi. Wedle tego prawa chory musi najpierw wnieść podanie, w którym prosi o zastosowanie doń tego prawa, a dwaj lekarze muszą potwierdzić, że wypadek jest beznadziejny. Chory musi sam podpisać podanie i pozatem stwierdzić, że rodzina jego jest o tej decyzji poinformowana.

Biuro, które ma się zajmować tego rodzaju sprawami, utworzone zostanie przy ministerstwie zdrowia. Odnosny referent będzie się musiał przekonać, czy wszystkie dane odpowiadają ściśle prawdzie. Dopiero po załatwieniu tych formalności może lekarz zaaplikować choremu śmiertelną dawkę, z tem jednakże, że od tej decyzji do dostarczenia, względnie zastrzyknięcia dawki pozostają jeszcze trzy dni, w czasie których mogą apelować krewni, względnie zainteresowani.

(Dokończenie na str. ostatniej)

radja

ani inżynierom. Japończycy mieli zawsze setki dialektów, idiomów, mają oddzielny język „dla pań” i oddzielny „dla panów”, inaczej zupełnie wyraża się tam służba, a inaczej sfery lepsze, mieszanie wyrazów „męskich” z „kobiecych” uważane jest za dowód złego wychowania. I dopiero pod wpływem i za sprawą radja wytwarza się w olbrzymim kraju jakiś język powszechny, wspólny, zrozumiały, jednolity. W Chinach — ze względu na dziwną pisownię i na 40 tysięcy „ideogramów”, zastępujących litery alfabetu — zwykły telegram budził różne nieporozumienia, ale inżynierowie skoczyli po rozum do głowy, wprowadzili t. zw. „belinogramy” (rysunki, przesyłane telegraficznie) i elektrotechnika wkroczyła triumfalnie do „państwa środka”, do legendarnej krainy złotych smoków. Zrewanżowaliśmy się wreszcie, po dziesięciach wieków za te cudowne wynalazki, które historia cywilizacji przypisuje dawnym Chińczykom.

Na te sukcesy i triumfy niezaprzeczone — zamykamy najczęściej oczy, słowa „postęp techniczny”, „cywilizacja” kojarzą się teraz w umysłach

stałe z bezrobociem, kryzysem, zastojem. Maszyna — dla wielu — jest jakby narzędziem do pobawiania ludzi uczciwej pracy... W Londynie pracuje od pewnego czasu świetny reżyser, René Clair, tworzy film angielski i w wywiadzie prasowym powiedział wyraźnie, dlaczego to robi. Woli komponować dla 30 tysięcy kinoteatrów, niż dla pięciu, język angielski jest właściwym językiem „dźwiękowych”. Tak czy owak — tworzyć dla trzydziestu tysięcy teatrów! Gra jest warta świecy... Na t. zw. „zero-ekranach” wielkich stolic europejskich ukazuje się w tych dniach nowy film głośnego Cecila de Milla „Wojny krzyżowe”. Będzie to pewnie znów jakaś kolosalna Ben-Hurowa bujda na kołach bez resorów, coś pośredniego między „dziesięciorgiem przykazań” i „burtakiem z nad Wołgi” — w każdym razie dziesięć tysięcy statystów gra w tym filmie, który zatrudnił, zaprzęgi do prac całe armie aktorów, dekoratorów, maszynistów, operatorów. Kamera kinowa stworzyła szereg zupełnie nowych fachów i coraz częściej czytamy w pismach np. o zdumiewających wyczynach reporterów filmowych. Derby angielskie skończyły się o trzeciej, a już o szóstej wieczorem zdjęcia z tego wyścigu pokazywano w kinach Vest-Endu. Całe legiony takich i innych niezwykłych magików, fotografów, powielaczy, speake-rów i t. d. znajdują pracę w wielkich wytwór-

niach, rozrylających owe — najciekawsze chyba w programie kinowym — aktualności, zdjęcia z ostatniej chwili, historie nowożytną na gorąco.

I aparat filmowy tedy — jak się wreszcie po wielu długich i nudnych dyskusjach okazało — nie niszczył, nikogo w błoto nie wdpywał. Przeciwnie nawet — wydobył nowe talenty z ukrycia, dał im sławę, rozgłos i majątek. Jeżeli jednych muzyków trochę niezadowolono pokrzywdził, to zato innym dał suto.

Jedna z większych fabryk radiowych londyńskich wpadła na dobry pomysł. Znalazła — drogą ankiet — siedem tuzinów najgorszych, najzaciejszych i najbardziej zasadniczych wrogów radja, zaprosiła ich na bankiet, urozmaiciła toastami i — oczywiście — najprzedniejszą muzyką z głosników. Poczem owi nieprzejednani nieprzyjaciele zwiadzili wystawę w „Olimpii” i otrzymali kilka odbiorników na pamiątkę. Niech słuchają i niech wymyślają. Niech psioczą na balagan w eterze i na przeraźliwe trzaski.

W którymś z dzienników paryskich znówu dostojny akademik i starszy romansopisarz, Marceli Prevost, zastanawia się nad hałasem poważnie, jak przystało na filozofa, i dochodzi do wniosku, że tu rady niema: harmider na świecie będzie coraz mocniejszy. Zwiększyliśmy szybkość i zwiększamy ją dalej — niedawno Delmotte, znany pilot, pobił własny rekord i przeleciał tysiąc kilometrów z szybkością przeciętną 450 km. na godzinę. Ołóż — nawet osa bzyka, końska mucha i ćma się trzepocze wieczorem — czemużby nie miał warczeć człowiek, pędzący ze dwa razy prędzej od najgroźniejszego tajfunu japońskiego? Dodajmy — mówi romansopisarz — że ludzie wogóle własny hałas lubią. Kto może zatracić — zatraci, kto może naciśnąć wrzaskliwy klakson — naciśnie i jak jeszcze! kto może nakręcić gramofon chrapliwy — nakręci i nawet okno naoszczędz otworzy.

Przy każdej takiej i innej okazji stosownej przeglądamy — starym zwyczajem — na nowo całe konto olbrzymie naszej cywilizacji kiwamy głową nad rubryką „ma”, a zwłaszcza „winien”. Teraz zresztą nadarzyła się sposobność jeszcze lepsza. W ponurej awanturze abisyńskiej chodzi — podobno — o to, żeby wielkie przestrzenie państwa afrykańskiego zdobyć dla „kultury” i jeden z wybitnych publicystów europejskich rozważa w artykule dłuższym kwestję, czy ludność Etiopji do prawdy będzie szczęśliwszą, kiedy już będzie miała piecyki gazowe, jazz, pogadanki polityczne przez radjo, wyniki ostatniego meczu, podstek dochodowy, szosy, na których pospólstwo ginie tysiącami jak na wojnie. Kopalnie, katastrofy, kino, wywóz, przywóz, bezrobocie, Gazety, sensacje...

I to jest bodaj rzecz najbardziej zdumiewająca w tem wszystkim! Ziemia aż dudni od maszyn, w powietrzu aż szumi od najdzikszych pomysłów i śmiałych projektów, ale jesteśmy widocznie dopiero u wejścia do wielkiej, nieprzebranej, niezbadanej kopalni, bo zawsze jeszcze ludzie młodzi, początkujący trafiają na żyły złota.

mrowisku

to całują — o zgrozo! — z obojętnością. Zowią cię wtedy dość głupio „mon petit page” — i sensu w tem żadnego niema.

Ktoregoś ranka rozmyślałem właśnie o tem zo-wstrętem, paląc papierosa na gruszy. Palenie było oczywiście zbrodnią, za którą groziła nieunikniona „piątka”. Upatrzyliśmy tedy z Tadekiem ową gruszę w kącie ogrodu, jako schronienie przed sprawiedliwością ludzką. Grusza była stara, wypróchniała, rozłożysta i zdziaczała tak grunto-wnie, iż nikt się już nią nie zajmował. Wśród wyższych kondygnacyj gałęzi, znaleźliśmy tam dwa wygięte konary. Wpółleżąc na nich jak na klubowch fotelach, z papierosem w ustach, wiedliśmy tu nieraz z Tadekiem zblazowane konwersacje o marności świata i niepewności serca kobiecego.

Dziś byłem sam. Jak się rzekło, melancholijny i zgorzkniały. Myślałem właśnie, czy warto ściągnąć talerz malin, nieostrożnie zostawionych przez pannę Łucję na oknie, gdy uszu mych do-szedł ostrzegawczy gwizd. Spojrzałem poprzez listwę — Tadek. Pędzi ścieżką, dając gwałtowne znaki, abym zlaził.

— Złaż, Julek! Złaż!
— A bo co?
— Złaż, głupi! Prędko złaż!
Zgasilem papierosa, niedopałek włożyłem sy-

stematycznie do pudełka, pudełko i zapalki owinałem szmatką, wszystko ukryłem w głębokiej dziupli — i wówczas dopiero zsunąłem się na ziemię.

— Co takiego?
Tadek ledwie mówił z zadyszką.
— Pobili sie, uważasz... Jak ci go gruchnął młotkiem od krokiet, myślałem, że nogi poprzetrąca... A ten dopiero! Jak go nie walnie w łeb!...

— Ale kto? Co?
— Jakto kto? Janek Wacka, rozumie się...
— Niech ich tam diabli — mrucnąłem.
— ...Kazia jakby nigdy nie. Patrzy. Dopiero Julja się odwróciła — jak nie wrzaśnie! Wpadła między nich, bo byliby się pozabijali. Tarmosili się na ziemi, jak opętani...

— A cóż tam Julja robiła?
— Głupis. O nią właśnie poszło. Grall niby w krokiet. Wacek jak to Wacek! ciągle groził, że Julję pocałuje. Cna w śmiech. Janek nie. A tu Wacek jak nie przyskoczy, jak jej nie ściśnie! I pocałował, o tu! pod nosem. A Janek podleciał, jak nie strzeli w samą głowę. Wacka, rozumie się. Julka w nogi. A Wacek za młotek...

— No i co? — przerwałem.
— Ano, niewiadomo co... Janek groził, że go zabije jak psa. Siedział w altanie. Ciebie szukał.
— A skazypyta gdzie? U panny Łucji?
— Kazia? Chyba nie. Nie myślę, żeby szcze-kała. Zresztą Janek głowę jej zatkał, nie bój się. Będzie żuła przez tydzień. Chodź!

Siedziałem pełen uczuć niepewnych. Ze Julja daje się całować — żło. Ze Wacek dostał za swoje — dobrze. Ale co dalej? Co mnie do ich bijatyki? Janek coprawda zawsze mnie wśród średniaków wyróżniał, nawet na polowanie z nim

chodziłem... Ze mnie wzywa — zawsze honor... Siedziałem niepewny.

Janka znaleźliśmy w altance w medytacjach. Twarz miał surową, koszulę w strzępach. Ledwie nas zobaczył, rzucił przez ściśnięte zęby:

— Zastrzelę łajdaka, jak psa.

Wzruszyłem ramionami.

— Phi, jak zastrzelisz, to będziesz gnął w kry-minale. I ze szkoły cię wyrzucą...

Nie zwrócił na to uwagi.

— Siłą, uważasz, całował, siłą! A łajdak! Zastrzelę! Słuchaj, Julek. Idź go zaraz wyzwać odemnie! Natychmiast. A łajdak!

— Jakto wyzwać? Na pojedynek?! — wrzasnąłem olśniony.

— Na pojedynek. Ja albo on. Wszystko już obmyśliłem. Ściągniemy pistolet Wróblewskie-mu z nad łózka. Ten stary. Idź w tej chwili. Niech sobie wybierze sekundanta...

Nie pisałem już ani słowa. Byłem oczarowa-ny, zachwycony do gruntu. Prawdziwy pojedynek. Taka gratka. Mówi się potem kolegom w klasie: „Kiedy sekundowałem w ostatnim pojedynku”... Ba! ba! Niewiele już pytając, puściłem się do Wacka całym pędem.

Siedział w stajni z guzem na czole, ale z mi-ną, jak zwykle, wesołą i bezczelną. Gryzł słomkę w zębach i ledwie na mnie spojrzał.

Czego chcesz, szczeniaku?

— Przychodzę od Janka. Wzywa cię na poje-dynek. Na pistolety — rzekłem uroczyście.

Wyjął słomkę z ust i przyglądał mi się chwilę. Potem słomką wyrzucił sobie kilkakrotnie a znacząco kółko na czole.

— Kręćka masz, osle?

Zmieszałem się okropnie.

(Dokończenie nastąpi)

Kącik kobiecy

Sporty zimowe dla dzieci

Każdy sportowiec wie dobrze, że przygotowawczą zaprawę do sportów zaczynać się powinno na długo przed właściwym sezonem. Tej zasady musimy przestrzegać i w stosunku do dzieci. Ślizgawka, narty, saneczki, których uprawianie pociąga za sobą kilkogodzinne przebywanie na powietrzu i dużo ruchu, mogą być niebezpieczne dla dziecka rozdeli. kaconego, zbyt ciepło ubieranego, które się zostawia w domu z powodu byle wiatru, czy najmniejszego choćby deszczu.

Jeżeli chcemy, żeby dzieci naprawdę z pożytkiem mogły uprawiać sporty — muszą one być przyzwyczajone do codziennego spaceru, od którego zwalnia tylko wyjątkowa niepogoda, lub mróz ponad 15°C.

Ubranie nie powinno być nigdy za ciepłe, takie, aby dziecko mogło się zgrzać. Wystarczy, jeśli nie jest mu zimno, gdy się rusza. Ważną rzeczą jest odpowiednie ubieranie nóg. Swobodne, nieściskające obuwie pozwala na dobre krążenie krwi. Obuwie ciasne powoduje ziębnienie nóg i sprzyja odmrożeniu.

Tak często doktorzy i higieniści pisali o tem, że śniegowce nie są odpowiednim obuwiem, że aż przykro to raz jeszcze powtarzać. Niestety, ciągle jeszcze śniegowce przeważają, jako spacerowe obuwie dla dzieci. Rozumiem, że mają one jeszcze rację bytu podczas błota i deszczu, żadna bowiem siła ludzka nie powstrzyma dziecka od chłapania się w kałużach, ale na suchy mróz jest to obuwie zupełnie nieodpowiednie, a przez swój ciężar hamujące swobodne ruchy dziecka. Do sportów nie nadają się zupełnie.

Zarówno do ślizgawki, jak do saneczek najodpowiedniejsze są niskie (męskie) buciki o grubej podeszwie i jaknajgrubsze, wełniane skarpetki. Przy ślizgawce skarpetki wywijamy na buty, przy saneczkach, na duży śnieg, skarpetkę lepiej wyciągnąć w górę, na spodnie i na brzeg buta owinać krótki owijk, aby zabezpieczyć od wysypywania się śniegu do buta.

Jeżeli będziemy codziennie spacerować traktowali jako wstępną zaprawę do sportów, to zastanawiając się nad ubraniem spacerowym, możemy logicznie wynioskować, czym je zastąpić lub uzupełnić do ślizgawki, czy saneczek. Przyjmując jako sprawę

dzian odpowiedniego obuwia to, aby dziecko w niem nie marzło, ani zbyt się nie rozgrzewało, ubieramy je w bezwietrzny dzień w lekkie, puszyste wełny, od wiatru zabezpieczamy, wkładając na warstwę takiego wełnianego ubrania cienką, lecz nieprzewodną palto.

Pierwsze ubranie zapewnia powolne, ale swobodne parowanie naturalnej wilgoci skóry; drugie ma na celu właśnie utrudnienie parowania, a tem samem szybszego wchłaniania, co jest nieuniknione podczas wiatru.

W czasie ślizgawki organizm dziecka wytwarza b. dużo ciepła i stara się je utracić. Trzeba więc dziecko ubrać tak, aby tę regulację ciepła umożliwić, ale nie pozwolić, aby następowała ona raptownie. Czyli że odpowiednie będą znowu puszyste, wełniane ubrania, niezbyt grube na ślizgawce, znacznie grubsze w czasie drogi do domu, kiedy organizm nie wytwarza już tyle ciepła, aby zastąpić to, które traci przez cienkie ubranie.

Ze względów higienicznych lepiej też będzie zawsze wracać ze ślizgawki pieszo, dość szybko, niż jechać tramwajem, w którym marznąć się wskutek braku ruchu.

Co do kwestyj technicznych, jakie mogą się nasuwać w związku ze ślizgawką, zwrócę jeszcze uwagę na to, że wiele dzieci ma nóżki słabe w kostkach i łatwo je wykręca. Można temu zapo-

bieć przez owinięcie nóg w kostkę mocnym bandażem. Aby bandaż nie tamował zbyt obieg krwi i nie obcierał nóg, zawinąć go na cienką, wełnianą skarpetkę, a na to dopiero włożyć drugą parę skarpetek.

Teren do ślizgawki znaleźć można wszędzie. Przy naturalnej ślizgawce pamiętajmy, że lód grubości 2—3 cm. jest już zupełnie niebezpieczny. Należy jednak dzieci ostrzec, aby nie próbowały wiercić dziur w lodzie, a także nauczyć je, jak postępować w wypadku, gdyby lód się załamał, i ktoś wpadł do przerębla (ratujący powinien leżeć na lodzie, trzeba się postarać o żerdź lub deskę, aby ratowany mógł się na niej oprzeć, i t. d.).

Kupując łyżwy dla dziecka, które z nich na pewno szybko wyrośnie, bierzemy jaknajtańsze, nieniklowane — chyba, że dziecko ma jeszcze kilkoro młodsze rodzeństwo.

Będą one zawsze porządnie wyglądały, jeśli starannie obetrzemy je ze śniegu, a przechowamy przez lato posmarowane wazeliną i zawinięte w papier.

Łyżwiarstwo mogą uprawiać dzieci już od lat 4.ch.

Saneczkowanie samodzielne w łatwych warunkach (niewielkie górki) może zacząć dziecko w tym samym wieku. Należy je przyzwyczajać do zachowania na torze saneczkowym podstawowych przepisów ostrożności, np.: nie powinno się zaczynać zjeżdżać, dopóki poprzednie sanki nie zostały ściągnięte z toru.

O ubieraniu nóg już mówiłam. Po zejściu z toru, w drodze do domu dziecko powinno ubrać się cieplej, gdyż najczęściej jest rozgrzane przez wciąganie saneczek.

Narciarstwo nie powinno być uprawiane przed ukończonym 7-ym rokiem życia.

Narty są zbyt dużym obciążeniem dziecka, a jazda na nich — ciężką pracą dla stawów. To też przedwcześnie uprawiane narciarstwo powoduje ich zgrubienie.

Pani Celina

Z gospodarstwa

Sól jako lekarstwo

Mimo licznych nawoływań niezawsze w domach prywatnych znajduje się pod ręką apteczka pożyteczna w nagłych wypadkach. W takich razach musimy sobie radzić tem, co możemy znaleźć w naszym gospodarstwie. Np. przy krwotoku płucnym, który odróżniamy od kiszkowego, czy żołądkowego żywym, czerwonym zabarwieniem i spienieniem, dobrym środkiem jest wzięcie do ust zwykłej kuchennej soli w ilości mniej więcej pół łyżeczki od herbaty. Sól należy w ustach trzymać i stopniowo rozpuszczającą się z wolna połykać. Przy bólu gardła sól w lekkim roztworze możemy użyć do płukania, dodając również szczyptę sody oczyszczonej.

Inhalowanie parą wodną z domieszką soli usuwa chrypkę i kaszel. Kąpiel nóg w gorącej wodzie z solą, przerywa nieraz katar i zaziębienie.

Ze świata

Piratki... mody

Przed sądem paryskim odbędzie się wkrótce sensacyjny proces. Katarzyna Decazeaux, jedna z najbogatszych i najelegantszych kobiet Paryża, będzie odpowiadała za kradzież modeli.

Okazało się mianowicie, że zanim jeszcze kolekcje modeli wiosennych i letnich zostały zademonstrowane klientom przybyłym z zagranicy, już ukazały się poszczególne modele w handlu, o 4000 km. dalej, gdyż za „Wielką Wodą” — w Ameryce.

Wyjaśnienie tej tajemnicy jest łatwe. Jest to robota „gangsterów mody”, którzy potrafili się wdrzeć w tajemnice atelier paryskich. Gangsterzy ci są mało podobni do swych kolegów amerykańskich. Są to piękne, eleganckie kobiety, które nie posługują się bynajmniej pistoletem. Ich bronią jest dobrze wyostrzony ołówek. Najczęściej pochodzą te kobiety z najlepszego towarzystwa, które w ten sposób chcą sobie zapewnić poważny dochód. Interes oplaca się. Za skradzione paryskie projekty mód placą Amerykanie do 600 franków za sztukę.

Katarzyna Decazeaux była najsprytniejszą ze wszystkich piratek mody. Założyła ona na Rue de la Paix mały salon mód, ale jedynym gościem tego salonu była policja, która koniecznie chciała zbadać, gdzie dama ukrywa modele, z których robiła kopje. Dopiero teraz udało się wykryć tajemne wejście do skrytki, do której wchodziło się przez szafę. Stamtąd szło się po schodach na strych, tam znajdowało się całe atelier mody.

Miejsca ukaszone przez owady dobre zwilżyć nieco wodą i posypać solą, która trującą, czyli jad owadzi neutralizuje. Jeżeli wpadnie nam do oka, czy do nosa np. nieco płwociny przy krztuszeniu się chorego, należy zaraz rozpuścić soli na koniec noża w półszklance przegotowanej wody i przemyć gruntownie oko czy nos. Jeżeli np. w wypadku otrucia zależy nam na spowodowaniu wymiotów, dać otrutemu ciepłej wody z solą do picia.

Powszechnie również wiadomo, że kąpanie w wodzie z solą działa wzmacniająco na organizm, a nacieranie co rano zaraz po wstaniu wodą z solą całego ciała a przynajmniej pleców i piersi, pobudza krążenie krwi i wpływa hartująco. Jak widzimy, tak tani i znajdujący się zawsze pod ręką środek ma w domowym lecznictwie duże zastosowanie.

Były jednakże także inne tricki. P. Decazeaux obiecała eleganckim paniom, które dawniej należały do klientek wielkich atelier mody, a obecnie nie posiadały dość pieniędzy, by zamówić suknie oryginalne, że dostarczy im kopji modeli, o ile je dla niej w tajemnicy przerysują. Wobec tego trzy takie panie udały się na pokaz mód, umówiwszy się, że jedna będzie zapamiętywała wyłącznie partje pleców, inna ramiona, trzecia jeszcze inny szczegół kroju.

Jedną z tych pań, baronowa C., uznała, że może sama również uprawiać szpiegostwo mody na własną rękę. Rozpoczęła więc pracować samoistnie i wkrótce stała się groźną rywalką dla p. Decazeaux.

Teraz dopiero rozpoczęła się iście gangsterska walka między rywalkami. Damy wniosły na siebie nawzajem doniesienia, oskarżając się przed policją, wreszcie rzuciły się na ulicy z parasolkami w rękach. Policja z przyjemnością patrzyła na te waśnie i bójki, gdyż zależało jej na tem, aby wykryć i pociągnąć do odpowiedzialności piratki mody.

Mimo to zasługa zdemaskowania Katarzyny Decazeaux nie przypadła w udziale policji, lecz straży ogniowej. Oto rywalki Katarzyny spowodowały mały pożar w jej atelier. Przestraszona służąca narobiła krzyku i natychmiast przybyła straż pożarna, która wszystko sumiennie załapała wodą. Gdy pożar ugaszono, znaleziono potajemne wejście do atelier na strychu. W kilka godzin później Katarzyna Decazeaux znalazła się w więzieniu.



Na zdjęciu model ostatniej sukni balowej w Hollywood. Czyżby powrót krótkich sukien?

ANGLA KOLUMNA MŁODYCH

W przededniu Zjazdu ZPMK

Uwagi na czasie

Wraz z V-tym Walnym Zjazdem Delegatów — ZPMK wstępuje w piąty rok istnienia, działalności i rozwoju. Jest to wcale ładny okres czasu na służbie społecznej, zwłaszcza, gdy się uwzględni, że służba ta nie jest ani łatwa, ani ponętna, ani wdzięczna, lecz przeciwnie — trudna, twarda i wymagająca.

W karuzeli czasu przemijają lata całe, jedni odchodzą, inni przychodzą na miejsce tych co odeszli, zdaje się wszystko ulega przemianom, przeobrażeniom. Przed kilku laty niejedyn z nas wycierał spodnie o ławę szkolną, a dziś już jest człowiekiem samodzielnym, lub przynajmniej samodzielnie usiłuje patrzeć na świat, zatracając na wyboistych drogach życia kwiat młodzieńczej naiwności.

Rzeczy i sprawy, ludzie i stosunki z przed kilku lat i dzisiaj są inne, niby stare i znane, a jednak nowe i niosące najnieprawdopodobniejsze niespodzianki.

Oglądamy się wstecz, liczymy lata, przypatrujemy się uważnie sobie i otoczeniu, zadajemy pytania cośmy zrobili i jak, i co zamierzamy zrobić. Taki stosunek do rzeczywistości, stosunek krytycznej oceny i wnioskowania o możliwościach rozwojowych, zwykliśmy zajmować w tym momencie, gdy w klepsydze wieczności jeszcze jedna miara piasku czasu przesypuje się w niepowrotną przeszłość. Jest więc chwila zastanowienia się, chwila namysłu, uroczystego skupienia, a potem znowu wiązanka szarych dni i tygodni, zamkniętych w obrębie dwunastu miesięcy. I tak się obracamy w zaczerpnięciu kole czasu, z którego wyjść nie da.

Wśród zorganizowanej, a więc świadomej celów i zdyscyplinowanej części społeczeństwa polskiego w Łotwie, ZPMK zajął, dzięki układowi szeregu warunków, miejsce poczesne i odegrywa rolę najpoważniejszą we wszelkich poczynaniach zbiorowych. Stwierdzenie takiego stanu rzeczy jest na miejscu i na czasie, gdy się rozglądamy za całością sprawy społecznej i pytamy siebie kim jesteśmy. Przed ZPMK młodzież nasza chodziła samopas, rozpraszała się po drobnych organizacjach, pozostających w granicach jednej szkoły, czy parafii, błądziła po manowcach eksperymentów społecznych lub zasklepiała się w ciasnym kółku „swoich ludzi”. ZPMK został skonstruowany pod szerszym kątem widzenia, ogarnął teren, zjednoczył rozproszone wysiłki, powiązał w jeden łańcuch poszczególne ogniwa tej samej sprawy. ZPMK skierował zbiorowy czyn młodzieży w orbitę szerszych możliwości i wywołał wizję zjednoczonego, jednolitego społeczeństwa.

Nie można jednak powiedzieć, że, po dokonanej pracy, nie już więcej nie zostało do zrobienia. Nie można powiedzieć, że został rozwiązany cały problem zorganizowanej młodzieży. Dużo jeszcze jest do zrobienia, długo jeszcze trzeba iść. Jak dużo, jak długo? — Nieskończenie! Rzecz się obraca około nieprzemijających wartości, w których jest cel, początek i koniec, forma i treść życia. Na fundamentach niewzruszonej opoki katolicyzmu wznosić mamy szklane domy zgody, w świetlicach, w których panuje czysta atmosfera prawdy i szczer-

rego porozumienia.

Jeden z wielkich współczesnych myślicieli i ludzi czynu powiedział, że w życiu społeczeństw dzisiejszych jeszcze zadużą rolę odegrywa interes, zaledwie zaś jest poczucie obowiązku pełnienia służby. Musimy u siebie, większy jeszcze niż dotąd, nacisk położyć na ten nakaz pracy społecznej, zawartej w wyrazie służba, nie pozwalając się powodować bodźcem interesu. Podporządkować się i wspólnym wysiłkiem pechać sprawę naprzód, lub, gdy inaczej nie można — raczej się usunąć, ale nigdy nie psuć i nie przeszkadzać!

Niemal równocześnie ze zmianą roku kalendarzowego w ZPMK następuje zmiana władz: Zarządu Głównego, Głównej Komisji Rewizyjnej i Rady Naczelnej. Zmiany tej dokonuje Walny Zjazd Delegatów, odpowiedzialny za losy całej organizacji. W dotychczasowej praktyce zjazdowej przejawiały się pewne tarcia i zaburzenia, tkwiące swymi korzeniami w drobniejszych szczegółach i zagadnieniach drugiego rzędu. Zawsze natomiast można było wyczuć wspólną troskę o rozwój organizacji, działającej nie jako odrębny i niezależny mechanizm, lecz jako część organizmu społecznego, niezbędną dla całości. To stanowisko poprzednich zjazdów musi być zachowane nadal i zachowane zostanie.

Najgorętsza wymiana zdań, najgłośniejsze wypowiedziane słowa muszą być głęboko przemyślane, nie powinny się wyrwać z chaosu nieustalonych pojęć i niedojrzałych projektów. Co człowiek to styl, co głowa to rozum — mówią przysłowia i nie w wątpliwie tkwi w nich wielka doza prawdy. Spotkawszy się ze sobą z okazji Zjazdu będziemy mieli doroczną sposobność rzeczowo i wyczerpująco zastanowić się nad zamkniętym okresem pracy oraz w ogniu dyskusji wykrzesać nowe projekty na okres nowy.

Pod światło

Podział kompetencji

ZPMK jest dzisiaj najpoważniejszą młodzieżową organizacją polską w Łotwie. Zechciał i potrafił objąć młodzież z całego terenu, prowadzi ją i prowadzić będzie świadomie do wytkniętych i dla wszystkich jasnych celów. Tak jest.

I tak będzie, czy komuś się podoba, czy też nie.

W przededniu prawie kolejnego Walnego Zjazdu Związku należałoby — zdaniem naszym — zająć się niezmiernie ważną sprawą: rozdziałem kompetencji, odcinków pracy na terenie.

Powstanie i aktywność ZPMK nie było energią ujawnioną samą w sobie i tylko dla siebie.

Ruch młodych podzielał ożywczo na niejedną, w spokojnej drzemce pokutującą, organizację.

Trzeba było rozruszać się, bo inaczej, przy normalnej zachłanności młodych, należałoby poddać się procesowi powolnej samolikwidacji.

Trzeźwość myśli społecznej przemogła — byliśmy świadkami odnowienia, odrodzenia niejednej placówki społecznej dotąd zaledwie wegetującej.

ZPMK poszedł szeroko, ogarnął masy, na przyszłość musi pójść głębiej, musi sięgnąć po jakość, może nawet częściowo rezygnując z ilości. To krótko sformułowany program, który się realizuje od samego początku, w nieustannym procesie wytwarzania się wartości ducha, myśli i uczucia. To trójpierścienie (duch, myśl i uczucie) w najszlachetniejszej formie niech zostanie wprężone do służby dla sprawy, która nas wszystkich obchodzi. Via.

Władysław Betza

Na Nowy Rok

Jak słońce rankiem, wstając z pościeli,
Wszystkich raduje, wszystkich weseli
I na zgnębione serca i duchy
Wlewa ożywczy promień otuchy:
Tak i Rok Nowy, schodząc do ludzi,
Nowe nadzieje wokół budzi,
Podnosi duchy i serca krzepi,
Że jakoś będzie na świecie lepiej.

Tak, będzie lepiej! — Lecz nie z obłoku
Spadnie nam pomoc w tym Nowym Roku;
Tylko, jak iskrę z krzemienia jasną,
Trzeba ją pracą wydobyć własną;
Rąk nie opuszczać, gdy się źle dzieje,
Rozbudzać w sercu wiarę, nadzieję,
Nie iść omackiem, jak ludzie ślepi,
A wtedy wszystkim nam będzie lepiej!

Wtedy się życie jasno ułoży,
Bo spocznie na niem Moc i Duch Boży!
Wtedy się dola nasza poprawi,
Bo krępkim duchom Bóg błogosławi;
I nie będziemy, jak to co roku,
Wyglądać cudu ze łzami w oku,
Bo skarby świata leżą przed nami,
Tylko je musimy zdobywać sami.

I dobrze, że tak było. Nie mamy tych placówek za dużo. Ale, o ile możemy sobie jeszcze pozwolić na tworzenie nowych placówek, koniecznych dla pracy specjalnej, dla której powołanie nastąpi, o tyle nie stać nas na dublowanie każdej roboty, powtarzania już rzeczy dokonanych, wypróbowanych, robionych.

Nie stać nas na rozstrzeliwanie wysiłków i rozpraszanie pracy po kilku kątach, jeśli robimy ją już w jednym.

I niech nam nie tłumaczą, że na drodze rywalizacji, pewnego wyścigu — osiągnięć się pomyślniejsze rezultaty. W naszych warunkach tego rodzaju rywalizacja przyprowadza najczęściej do rywalizacji personalnej, do rozpraszania sił, zmniejszania intensywności pracy i jej wyników.

I dlatego ZPMK powinno wystąpić z inicjatywą podziału kompetencji i odcinków pracy, przypadających na poszczególne organizacje.

Każdy na określonym miejscu robi tylko swoją robotę i za nią tylko przed społeczeństwem jest odpowiedzialny.

Wieści z Rygi

Wreszcie kukiełki!

Iluz to z nas za swego dzieciństwa i swojej wczesnej młodości nie słyszało bajek, opowiadanych w szare godziny, kiedy zmierzch zasnuwał świat i kojące cisza spokoju opadała na dom!

Mówiła nam je matka, babka, rzadziej ojciec, częściej stara piastunka, jakdyby wywołując ze smroku odwiecznego sędziwego bąja, co, pod akompaniament świątecznych skrzypiec, prawil nam — wciąż ciekawym, wciąż głodnym bajek — historje o królownie, o babie Jadze, szewczyku, dzielnych królach, pięknych królownach, zamkach tajemniczych i ziemiach dalekich...

Kiedy jeszcze dalecy byliśmy szarzyzny życia — rozkwitały w naszej wyobraźni cudowne kwiaty bajek i błękitna zadymka przystaniały ciężką nieraz codzienność.

Potem — bajki odumarały wraz z nianią albo pierzchły wraz z dzieciństwem.

Twardy świat pracy i znoju otwierał się przed nami coraz szerzej: ginęły złudy.

Teatr Polski powrócił nas na chwilę do tej czarownej krainy bajki, za którą niejedną tęsknił i której niejedną nie zaznał wcale za młodu.

Kukiełki?

Tak. Na normalnej scenie, zmniejszonej tylko znacznie, kukiełki — lalki — zamieniły żywych ludzi. I poruszały się, płakały i cieszyły się, zadowolone ze swego życia i swego losu, niezdarnie dźwigając się na szczytach, kierowanych ludzką ręką.

I jak za dzieciennych, złotych dni był na scenie tego kukielkowego teatru sędziwy baj, była godzinaka szara, ruchliwy świąteczny i dzieci przy kominiku, słuchające dziwnej opowieści: o szewczyku, królownie, smoku i królu gwoździku.

Złudzenie stuprocentowe! I nie trzeba było koniecznie być dzieckiem, żeby ten rzekomo „dziecinny” teatr podziwiać. Można było równie dobrze mieć 100 i więcej lat na karku, ale cieszyć się wraz z martwymi lalkami, natchnionymi — przez światło ramy i rękę ludzką — ożywcem źródłem wiecznej żywej bajki, zmartwychwstającej zawsze w młodej sercu wspomnieniem czegoś istotnie pięknego, choć dawnego, istotnie ożywczego, istotnie trwałego.

W oświetlonym prostokącie sceny płacze król. Świerszcz wyśpiewuje swoją melodię. Ogniem ziele smok. Cieszy się królowna i triumfuje szewczyk. A ponad tem wszystkim jakiś dziwny urok szarej godzinaki, rozciągającej swe sidła — czary nad duszą ludzką, wspomnienie dzieciństwa, które nigdy nie powróci i jakieś gorące pragnienie wielkiej wiary w złudę, w bajkę, w mit, co — pomimo całej sztuczności ośmieszonego romantyzmu — jest przecież jedynym i niezastąpionym pięknem życia.

Jakże dobrze jest tym, co wierzą w bajki. Jakże lekko, radośnie i swobodnie! Rozejrzyjcie się dookoła, po rozradowanych, uśmiechniętych twarzach! Spójrzcie w oczy dzieci roziskrzonych ogromnym weselem, dzieci, przejętych smutkiem i radością życia kukielek, poruszających się w takt muzyki na scenie! Jakżeby się chciało tak radować się i cieszyć z niemi! Być, jak dziecko...

Na sali pełno. Ale nie tylko dzieci. Są i starsi. Jest młodzież.

Zainteresowanie ogromne.

I nic dziwnego. Czyjaś b. umiętna ręka przygotowała nam nielada niespodziankę. Pierwsze przedstawienie teatru kukielkowego w Rydze — po tylu sukcesach w Łatgalji, gdzie przygotował go ZPMK — można śmiało nazwać nadzwyczaj udanym.

Zarówno w sensie reżyserji, jak i wykonania.

Przedewszystkiem o wrażeniu zewnętrznym: stylowa scena, delikatne oświetlenie, umiejętne ujęcie całości z uwzględnieniem każdego najdrobniejszego szczegółu, właściwe podkreślenie najbardziej zasadniczych momentów, odpowiednie rozplanowanie figur, misterność w ich odtworzeniu.

Za sceną? Niewielki zespół, ale umiejętnie dobrany. Każdy na swoim miejscu, bez szumu, zbytniego ruchu i zamieszania tak zwykłego wszystkim teatrom amatorskim. Nawet strona muzyczno-śpiewacza, pokutująca zwykle na naszych scenach, potraktowana została b. umiejętnie i właściwie, rozpoczynając od doskonałego podkładu muzycznego i kończąc na wykonawcy każdego chólowego (za kurtyną) wystąpienia.

To same plusey.

Minusy?

Każde poczynanie powinno je mieć, inaczej będzie czemś abstrakcyjnym i pozbawionym cech człowieczeństwa.

A więc?

Za dalekie wglębie sceny zasadniczej. Z przeciwległego końca dużej sali kukiełki przybie. rały widok zaledwie dostrzegalnych postaci. Stąd wniosek pierwszy: scenę teatrzyku kukielkowego posunąć naprzód.

Dalej: Kotary zbyt przejrzyste albo światło poza kotarami za jasne — ruch postaci za sceną nazbyt widoczny. Złuda powinna zostać złudą. Wierzymy w bajkę. Ślad życia nie powinien ujawniać się z poza sceny teatru kukielkowego.

Wniosek drugi: mniej światła poza sceną lub szczelniejsze (kolor ciemniejszy!) kotary.

I trzeci wniosek? Bardziej celowo i właściwie poruszać kukielkami na scenie ich teatrzyku. Nie przesadzać. Dyskretniej, w takt muzyki, w rytm słowa.

Dalej?

Dalej krytyczny oko sprawozdawcy, który z zasady jest człowiekiem z radością wynajdującym dziury w całym — nic nie mogło dostrzec. Wszyst. ko było na swoim miejscu, wszystko było conajmniej dobre, jeśli nie doskonałe.

Z całości znać było sztukę, którą wystawić



mogła tylko osoba, reżyserująca niedawno baśń dla dzieci p. t. „W szponach czarownicy”.

Czyśmy zgadli?

Gdybyśmy zechcieli wyliczać postacie kukielek i podstawić pod nie nazwiska zwykłych, takich jak my, ludzi — rozpiechłby się urok bajki.

Poprzestaniemy na wyliczeniu symboli. Reżyserka? Nie wyprowadzajmy jej na światło sceny. Jest za skromna. Publiczność ją kępuje. Najlepiej czuje się, kiedy jej nikt nie zauważa. Poczóż więc mamy wcisnąć się całkiem niepotrzebnie za kurtynę i „robić” wielkich tego świata, którzy coś notują na lotnych kartkach i nigdy o niczem nie pamiętają?

Reżyserkę zostawiamy poza jej doskonałym dziełem: poza teatrem kukielkowym. Wiemy, czem się Polonji zaślubiła. Nie jest już bezimienna. Jest ta sławna pani, która wystawiła raz baśń dla dzieci, teraz przyniosła ze sobą kukiełki. Choć to wszystko dla dzieci, to jednak tak blizkie i dla nas — dla dorosłych.

Autorem kukielek? Ojcem ich?

Pytam skromnie w kącie o jego nazwisko. Nieskromne usteczka powiadają, że jest nim p.

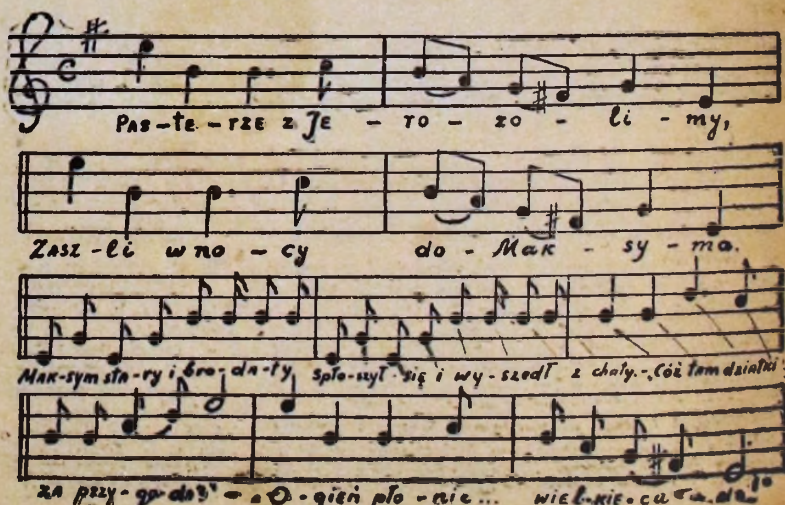
W poprzednim (świątecznym) numerze naszego pisma podaliśmy ciekawy artykuł p. Leona Mozalewskiego, omawiający kolendy tutejsze, nasze, w Łotwie. Obecnie podajemy nuty do jednej z tych kolend, której słowa przytoczyliśmy w już wspomnianym artykule.

Pierwsza zwrotka tej kolendy brzmi, jak następuje:

— „Pasterze z Jerozolimy Zaszli w nocy do Maksyma, Maksym stary i brodaty Spłoszył się i wyszedł z chaty.

— Cóż tam dziaćki za przygoda?

— Ogień płonie, wielkie cuda!...”



Teatr Polski

we własnym lokalu (Jezuszbaznias 3) 1 stycznia 1936 r. o godz. 2 po południu drugie przedstawienie Teatru Kukielkowego. Wystawiona będzie baśń M. Kownackiej p. t.

„O strasliwym smoku i dzielnym szewczyku, prz: ślicznej królownie i królu gwoździku”

Bilety w cenie od Ls 0,30 do Ls 2,— w sklepie W. Urbanowicza i w kasie Teatru.

Romuald Hryniewicz. Zareprezentował się nam, jako pierwszorzędnym, dyskretnym odtwórcą świata bajki. Jego postacie są żywe i naturalne. Miłsterne, w miarę dowcipne i w miarę realne. Powinno się je zachować, jako naszą, na naszą modłę skrojoną, twórczość lokalną.

O muzyce już mówiliśmy. Nie będziemy jej przetykali nazwiskami. Poczóż? Była dobra, ofiar-na, na każde żądanie dzieci zaczynała grać na no. wo i, jak za pierwszym razem, żywo a ochoczo.

Wykonawcy?

Ukrywała ich kurtyna. Nie było ich dużo. Na sali, wśród dzieci, było pełno domysłów. Raz śpiewała Jadzia, potem Hela, potem znowu ktoś inny. Niech ludzkie twarze pozostaną — nie nazwane — poza fałbanami dyskretnego kurtyny. Dały nam dużo zadowolenia, radości, powróciły nam wiarę w czar, błękitnej bajki — niech pozostaną tajemnicze, a zawsze żywe, zawsze pamiętne. My przecie ich wszystkich dobrze znamy! Są wśród nas. Z nami. Nigdy nas nie opuszczają. Tylko na chwilę weszli na podniesienie. Za ten moment pięknego zapomnienia — dzięki im.

Czyżby wszystko?

Pozostali inni bezimienni. A więc ten żywy baj, co — dublując tego z kukielek — czarny i uśmiech, nięty — wychodził co chwilę przed kurtynę i dźwię dzieciom i dorosłym opowiadał, i dzieci i dorosłych bawił.

I ci organizatorzy, nienazwani z imienia, co o tej imprezie — jak o gwiazdce, czy o darze św. Mikołaja — pomyśleli i czas nam na kilka godzin umiliili.

Wszystkim im stokrotnie — Bóg zapłać...

Niejedna twarz pogodna uśmiechnie się ironicznie nad rozczuleniem sprawozdawcy. Jest pew. no stary — wyszepta — i rozczarowany, więc w bajki pragnie wierzyć, za bajkami tęskni.

Niejedne oczy szukać będą w sprawozdaniu czegoś i, nie znalazłszy, rozgorzeją niezadowoleniem.

Trudno.

Jedynym lekarstwem na to niedomaganie będzie — pójdź do teatru. Zanim jeszcze czas.

Następne przedstawienie — w dniu 1 stycznia 1936 r. o godz. 14, czyli o 2 po południu.

Może, gdy sami na własne oczy ten żywy teatr kukielkowy zobaczą — uwierzą.

Ze tak będzie zapewnia wszystkich — i mł. dych i starych — Sprawozdawca

Wieczór w Reducie

Tradycyjna zabawa świąteczna odbyła się w Reducie na drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Atmosfera miła i sympatyczna. Na sali tylko młodzież.

Z kolend tutejszych

Z Szopki Krakowskiej

Śmierć

Królu Herodzie! za two niegodziwe słowa,
Będzie na placu ścięta twoja głowa.
Stawam przed tobą, monarcho potężny,
Schodź zaraz z tronu twojego;
Potrzebny nam jest bohater tak mężny
Na posługacza dla czarta samego,
Po tom w te miejsca przybyła,
Abym cię na dno piekieł pogrzyżała.

Chociażes taki potężny, ra nie ci to wyszło,
Musisz dać pod mą kose swoją głowę pyszną.

Nic nie pomoże,
Pójdź sam, nieboże!
Miesiąc z gwiazdkami
Pod moimi nogami,
(ścina głowę Herodowi.)
Przez rozkaz Bożki,
Łeb ścięty królewski.

Trzej Królowie u Heroda

Trzech królów potężnych od zachodu świata,
Przychodzą do twojego tutaj majestatu,
Witaj królu Herodzie,
Nasz możny sąsiedzie!
Słyszemy, jako w tym kraju nowina,
Że Marja Panićka porodziła syna.

A od Boga pochodzi, z rodziny królewskiej,
I ma być ogłoszony, jako król żydowski.

Anioł nam się Pański we śnie pokazał,
I do tej dzieciny wędrować nam kazał.

Dziadek

Niechże będzie pochwalony,
Siwa czapka, wierzch zielony.
Po łacinie gadają,
Prawdy świętej nie zrają.
Prosi dziadek na rany,
Bo mu się trzęsa galgany,
Na ogolenie bródki,
Na półkwaterek wódki.
Kto włoży, to Boży,
A kto nie włoży,
Ten pójdzie do kozy.
(śpiewa)

Musi dziadek, musi
podchlebiać babusi,
bo babusia dla dziadusia
pieczoneczkę dusi.
(Mówi)
Prosi dziaduś, prosi
Torbę z dzwonkiem nosi,
Pod Panną Maryą siada
I kluski z olejem jada.
Łut tabaczkę w dzień wyżyje
I flaszeczkę wódki wypije
A w domu babusie bije.

Pasterze, pasterze

Pasterze, pasterze, proszę was dla Boga!
Pożyczcie mi swoich dudek i koziego roga:
Bom ja jest dudedzka, Jezusowa pastereczka,
Będę mu, będę mu z wami pięknie grała,
Będę śpiewać, rozweselać, będę kołysała.
Nie masz sług, nie masz sług, tylko bydłać dwoje,
Przyjmijże mnie za pasterkę, to będziesz miał troje:
Będę owce pasła i narobię sera, masła,
Dla Ciebie, dla Ciebie, z Panićką Matusią.

Ba i Tobie Panie Józef, kochany tatusio,
Będę ja, będę ja, osiołka i wołu
W jedno jarzmo zaprzęgała i sobie pospołu:
Będziemy orali i pszeniczkę zasiewali,
Będę z niej, będę z niej piekła kukieleczki,
Nie pogardzajże ochotą wiernej pastereczki.

Hejnal

Hejnal wszyscy zaśpiewajmy,
Cześć i chwałę Bogu dajmy,
Nabożnie k' Niemu wolajmy:
Mocny Boże z wysokości —
Ty światłem Swej wszechmocności —
Rozpędź piekielne ciemności.
Tylko ta nam noc zostanie —
Co jest na odpoczywanie,
A odnawia pracowanie.

Kolendy

Gdy śliczna Panna Syna kołysała
Z wielkiem weselem tak jemu śpiewała:
Li li li laj, moje dziecięczo,
Li li li laj, śliczne panięczo.

Cicho, wietrzyku, cicho południowy,
Cicho powiewaj, niech śpi panicz nowy:
Li li li laj, mój wdzięczny synaczku,
Li li li laj, miłuchny robaczku.

Cicho bydłaćka parą swą buchajcie,
Ślicznej dziecinie snu nie przerywajcie:
Li li li laj, mój jedyny Panie,
Li li li laj, jedyne kochanie.

Narodzenia dzień Bożego.
Jest kolendą świata tego:
Tedy się radujmy, wszyscy wyśpiewujmy,
Kolenda, kolenda.

Oto dziś w niebie Anieli;
Po kolendzie są weseli.
Tedy się radujmy i t. d.
Dziś kolendę i Pasterze
Panu dają, a Pan bierze.
Tedy się radujmy i t. d.

Na ten Nowy Rok

Coraz to dalej
Szopa się wali
Józef nieborak
Kijem podpiera.
Wiatr zewsząd wieje
Nic nie zagrzeje,
Wicher do reszty
Strzechę obdziera.
Wiwat Pan Jezus,
Wiwat Maryja,
Wiwat i Józef,
Cała kompanija!

A to co! ziemianiel
Leży. Bóg na sianie,
Leży. Leży Dziecięczo,
Śliczne, małe Panięczo,
Do ludzi się uśmiecha.

Za kolendę dziękujemy
Zdrowia szczęścia winszujemy
Na ten Nowy Rok;
Bądźcież Państwo szczęśliwymi
Oraz błogosławionymi
Na ten Nowy Rok!



Drzeworyt noworoczny z XIV w.
Na obwodzie ryciny napis łaciński w przekładzie:
„Niech dla ciebie człowiecze tak będzie szczęśliwy,
ten Nowy Rok, jak ja jestem nowym chłopcem,
zrodzonym z czystej dziewicy, Chrystusem”.

Prawie... rozrywki umysłowe

Jasnowidz

Dobrze ułożony młody człowiek przegrał w klubie 10 zł. w bridża. Placąc mówi:

— Ja to zawsze przegrywam, nie mam, niestety, daru mego przyjaciela...

— Cóż to za dar? — zainteresowały się wygi klubowe.

— Widzi wszystkie karty, jakby były szklane. Co tam przy stoliku, on na odległość nawet widzi karty.

— Jakto?

— No tak, niech pan tu wyciągnie jakąś kartę z talii i zadzwoni do niego z zapytaniem, co to za karta. Pomyśli i powie.

— Et, bzdury takie...

— Mówię panu! Chce pan to założymy się o 100 zł. Proszę, oto stawiam!

Młody człowiek wyciągnął z pugilaresu 100 zł. Wszystkie trzy wygi się zainteresowały:

— Ja podtrzymam 100 zł.

— Ja też 100 zł.

— I ja z 50 zł.; to niemożliwe, nie wierzę w żadne jasnowidzenia, okultyzm...

— Służę, oto 250 zł. Proszę, niech panowie wybiorą sobie dowolną kartę z talii, położy ją otwartą, wszystkie inne muszą być zakryte.

Posprzeczawszy się nieco wygi klubowe wybrały waleta treflowego. Młody człowiek rzekł:

— Teraz niech któryś z panów zadzwoni pod numer 10 — 06 — 94, poprosi do telefonu pana Kołaczewskiego i wyłoży mu sprawę. Ja wcale nie podejść do telefonu, by nie było posądzenia o jakąś znowę.

Największa wyga klubowa poszła do telefonu, zadzwoniła. Szczęśliwym trafem pan Kołaczewski był w domu.

— Ależ proszę bardzo, oświadczył, chwileczkę — muszę się skupić — natężyć szósty zmysł. Już wiem — na stole leży walet treflowy!

Wygi zbaraniały, młody człowiek zgarnął 250 zł., pożegnał się uprzejmie i wyszedł.

W parę dni później jedna z wyg, będąc w innym klubie, usłyszała przypadkowo rozmowę.

— Nie wierzyłem nigdy w siły nadprzyrodzone, ale teraz widzę, że są...

— Tak, nie żałuję tych 100 zł., bo to rzeczy nadzwyczajne.

— Przez telefon!! Z tym przyjacielem słowa nie zamienił. Tu niema żadnego oszustwa, to naprawdę szósty zmysł!

— Panowie rozmawiali o pewnym fenomenie, który odgadł na odległość wyciągniętą kartę?

— Tak, istotnie, założyliśmy się tu z pewnym młodym człowiekiem, że jego znajomy...

Wyga klubowa klapnęła się z całej siły. po białe.

— Boże, jacyż z nas idjoci! Panowie wybaczą — ze mnie też, bo i ja dałem się nabrać. Przecie

to jasne jak słońce, proste jak dyszel. A, oszust, przebrzydły, a kanciarz, a okpiarz, a szelma...

Czy czytelnicy odgadli na czym polegał trick? Trzeba się zastanowić! To taki mały sprawdzian

Czarodziejskie sztuczki. Przy wykonaniu ich dobrze jest mieć ćwierćmetrową czarną pałeczkę, tak zwaną „pałeczkę magiczną“.

I.

— Proszę Państwa, wszystko to zawdzięczam mojej magicznej pałeczce „fokos-pokus-magikus“. Proszę się przekonać!

Biorę zwykłą świecę, zapalam zwykłą zapalniczką, a potem najnaturalniej gaszę. Co robię następnie? Zawijam bardzo starannie moją świecę w papier, a następnie, po zrobieniu nad paczuszką kilku pasów pałeczką magiczną, niszcę paczuszkę drąc, łamiąc i gniojąc całą jej zawartość. Świeca znikła, jak kamfora.

Sztuczka ta jest bardzo miła, a wykonana zręcznie i uważnie, może ogromnie zabawić towarzystwo. Oto szczegółowe jej wyjaśnienie: — Z białego kartonu, konieczne błyszczącego, należy zrobić normalnej długości i objętości wałeczek, któryby ludzko mógł naśladować świecę. U wierzchołka tego wałeczka należy przykleić małą kawałek prawdziwej świecy, oczywiście z knotem. Po zmięciu i podarciu paczuszki, oczywiście z trudnością, można się będzie dopatrzyć resztek stearynowki. Papier, w który zawijamy świecę, winien być również z dość grubego i błyszczącego kartonu.

II.

— Proszę Państwa, tą sztuczkę zawdzięczam oczywiście też jedynie mojej magicznej pałeczce. Biorę oto zwykłą chusteczkę, zwykłą szklankę, i jedną dwudziestopięciomonową monetę. Następnie zawijam monetę w chustkę i wpuszczam ją do szklanki. Wszyscy, przypuszczam, przed chwilą

inteligencji, domyślności. No, po rozum do głowy! Ruszać trochę mózgiem! No, kto wie — ręka do góry!

P. S. Dla zdeklarowanych matolów — wyjaśnienie. Młody człowiek umówił się z przyjacielem — szubrawcem, że każda karta odpowiada jakiemuś nazwisku. Zależnie, czy naiwni wyciągnęli waleta trefla, dwójkę karo, czy asa pik — kazał im wyzwać do telefonu pana Kołaczewskiego, Brylińskiego, Fijoła... Przyjaciel szubrawiec miał 52 nazwiska!

Ze świata magji

słyszeli brzęk monety. Teraz, proszę Państwa, następuje moment najciekawszy. Robię nad szklanką parę pasów magicznych moją pałeczką, podnoszę z nad szklanki chusteczkę i oto pieniądz znikł bez śladu.

Szczegółowe wyjaśnienie sztuczki: Do środka chusteczki przymocowujemy jednym końcem nitkę i ulepiamy na jej drugim końcu małą kuleczkę wosku. Zawijając monetę w chusteczkę, zręcznie przyklejamy ją do woskowej kulki i trzymamy przez chustkę, która powinna szczelnie okrywać szklankę. Po wpuszczeniu monety do szklanki i wyczekaniu chwileczki, trzeba zręcznie unieść w górę chustkę a wraz z nią uniesie się moneta przyklejona woskiem do nitki. Efekt jest doskonały.

Oksza

Jeszcze trochę o sporcie

Sztokholm — Berlin 8:0. Szwedzka reprezentacja hokeja lodowego pokonała w Berlinie reprezentację Berlina 8:0 (1:0, 4:0, 3:0).

Amerykanie pokonali Anglików i Niemców w strzeleckich zawodach korespondencyjnych. Amerykanie zdobyli 3950, Anglicy 3911 oraz Niemcy — 3903 pkt.

W Warszawie doznał porażki akademicki mistrz świata w koszykówce: ryska YMCA. Polacy, górowali zarówno w linii ataku, jak i w obronie. Wynik 40:33 na korzyść drużyny polskiej Akademickiego Związku Sportowego (AZS). W siatkówce YMCA warszawska pokonała swoją imienniczkę lotewską w stosunku 2:0.

Uśmiechy muzy Jana z Czarnolasu

RADY

Folgujmy paniom, nie sobie — ma rada, Miłujmy wiernie, nie jest w nich przysada. Godności trzeba, nie zaniec tu cnota, Miłości pragną, nie pragną tu złota, Miłuj z serca, nie patrzają zdrady, Pilnują prawdy, nie kłamają rady, Wiare uprzejmą, nie dar, sobie ważą,

W miarę, nie nazbyt ciągnąć rzemień każę. Wiecznie wam służę, nie służę na chwilę, Bezpiecznie wiercie, nie rad ja omyle.

(Każdy wiersz, czytany od końca, przy zmianie interpunkcji biegunowo przeciwnie podaje sens każdego zdania).

Jerzy Żulawski

Na srebrnym globie

Powieść

30)

Zbliżał się już wieczór, kiedy — po burzy — dostaliśmy się w miejsce, gdzie rzeka poczęła się rozlewać szeroko i tworzyć liczne mielizny utrudniające nadzwyczaj żeglugę. Przyszło nam na myśl, że ma to być zapowiedzią niedalekiego ujścia.

— Zobaczmy morze — mówiliśmy sobie, obracając oczy ku słońcu, jakby chcąc się upewnić, że jeszcze wystarczy dnia, aby dotrzeć do tego upragnionego celu podróży.

Ale tymczasem żegluga stawała się coraz trudniejszą. Uwięźnięliśmy parę razy na mieliznach, tak, że wreszcie postanowiliśmy zamienić znów statek na wóz i pójść dalej drogą lądową.

Zachód słońca zastał nas u podnóża

niewysokich, zrzadka jakąś niby trawą porośniętych, wydmy piaszczystych. Przeczuliśmy, że za nami znajduje się już morze; zdawało nam się nawet, że słyszymy wielki, stłumiony łoskot fal i czujemy rozchodzącą się w powietrzu ostrą woń morskiej wody. Dlatego też, gnani niecierpliwością, mimo zapadający zmrok, nie przerywaliśmy podróży.

Mrok zgęstniał już znacznie, kiedy dostaliśmy się nareszcie na szczyt owych wydmy piaszczystych. Wyteżaliśmy wzrok, aby zobaczyć morze, ale niepodobna było nic rozeznaczyć. Przed nami leżała tylko upiornie fosforyzującymi roślinami pokryta piaszczysta; od wschodu, skąd słyhać było jakieś belkotanie i jakby łoskot tryskającej wody, snuły się gęste, białe mgły

czy opary, jak duchy błądzące po świetlistych łąkach. Nie wiedzieliśmy zrazu, co robić: pozostać przez noc na wyżynie, czy też spuścić się na dół, gdy wtem wiatr, zerwawszy się nagle, rozwiał snujący się pasmem opar i odkrył potoczek, ściekający o kilkadziesiąt kroków przed nami po kamiennych progach w nieduże, naturalne baseny, schodami w szereg ułożone. Widok ten trwał jedną chwilę, gdyż zaraz gęsty opar pokrył wodę na nowo i tylko plusk i belkotanie wciąż uszu naszych dołatywały. Zastanowiła nas ta niezwykła ilość i gęstość oparu i ruszyliśmy w kierunku basenów. Za chwilę znajdowaliśmy się w gęstej, cieplej mgłę. Koła wozu tętniały teraz po kamieniu.

Gdy wiatr znowu mgłę rozegnał, spostrzeżliśmy, że znajdujemy się tuż nad brzegiem jednego z basenów. Ciepły, wilgotny powiew musnął nas po twarzy.

— Cieplice! — zawołaliśmy równocześnie obaj z Varadolem.

Istotnie musiały się gdzieś w pobliżu znajdować gorące źródła, gdyż woda, odpływająca strumieniem i rozlewająca się

Życzenia Noworoczne

SZANOWNYM KLIJENTOM SKŁADAJĄ FIRMY
w Daugawpilsie:

Kawiarnia-restauracja

b. „Witort“ właśc. H. Papsz
Rigas 66 Tel. 633

Skład materiałów piśmiennych i pocztówek

B. Juchniewicz

Wadoña 24. Tel. 408

Sklep kolonialny i delikatesów

P. Wierzbicki

Raiņa 90. Tel. 628

K. Dauge

Wadoña 21. Tel. 120

Wszystko dla fotografii, radja i elektryczności

B. Surwitlo

Sklep tytoniowy

Saules 23. Tel. 528. (Egz. od 1901 r.)

P. Markul

Skład wina

Rigas 9

Polska restauracja

A. Rusiecka

3 Janwara 40

Zakład fotograficzny

G. Zilbers

Wirsnieku 26. Tel. 473

Zakład fotograficzny

F. Pawlukiewicz

Saules 21.

Przedsiębiorstwo robót malarskich

„Jeleński“

Saules 36. Tel. 709.

A. Mitrofanow i Syn

Wadoña 31.

Tel. 167

J. Elstińsz, „Rota“

Najlepsza perfumerja i kosmetyka

Raiņa 65, tel. 462

oraz

gabinet kosmetyki, Raiņa 71

Pracownia wszelkich robót jubilersko-złotniczych, przeróbka i naprawa złotych rzeczy oraz naprawa zegarków

„Bentowicza“

Rigas 13. Obok apteki Czerwonego Krzyża.

Męski i damski zakład fryzjerski

Br. Zaszczeryński

13 Nowembra 100.

„Zakochany atleta“ ma nerwowy charakter i duszę szeroką, zdolną do wielkich wysiłków i szczerą ofiarę. Kocha nieszczęśliwych ludzi, lubi im służyć w każdej niemal potrzebie swą uczynnością i według możliwości materialnie. Ma pełną duszę altruizmu i potrafi się wywnętrzać, to właśnie jest wielką zaletą charakteru. Nie znoś skąpstwa i drobnozłości. Takie natury można nazwać duchowymi atletami, bo posiadają bohaterstwo woli, pomimo nieraz dokuczliwych cierpień fizycznych. Pomimo zalet ma „atleta“ swoje kaprysy i niecierpliwe usposobienie. Nie stąpa po różach, tego los mu odmawia, a na skalistej ścieżce

Odpowiedzi grafologa

życia wśród osobistych rozczarowań znajduje ukojenie w niesieniu pomocy bliźnim. Dobry charakter w życiu rodzinnym, bo nie trzęsie się nad każdym groszem i odczuwa cudze cierpienie.

„Dundur“ należy do tych ludzi, którzy nie odegrali na scenie życia wstrząsających tragedii i kielichu gorczy nie wypili do dna. Naogół jest to charakter spokojny. Jeżeli czasem i uniesie

się, prędko zapomina. Nie posiada głębokiej intuicji pomimo swej inteligencji. Lubi przechodzić mimo ludzkich trosk i kłopotów, o ile komuś pomoże, to dlatego, by się tem pochwalić i sobie dogodzić. Charakter dosyć aparty, lubi dopiąć celu. Nie jest ani rozrzutny, ani sknera. Lubi muzykę, talentu, jak widać, nie posiada. Zdolności ma do biurowej i pedagogicznej pracy. Potrafi dogodzić otoczeniu dlatego, że na drobnostki uwagi nie zwraca i zbyt nie przejmuję się tem, o czym mówić nie warto. Lubi życie w bajce i bajkę w życiu. Nie ma stałości w przyjaźni, bo lubi wciąż coś nowego, pomimo spokojnego charakteru.

po basenach, miała dwadzieścia kilka stopni Celsjusza. Nie pora była badać pociemku okolicę; postanowiliśmy tylko skorzystać z nader szczęśliwego przypadku i spędzić mroźną noc nad tą wodą, dostarczającą nam znacznej ilości ciepła.

Noc mieliśmy dość niespokojną. W cztery ziemskie doby po zachodzie słońca spadł gruby śnieg i mroźny wiatr przewiewał tak, że dla zabezpieczenia się od zimna musieliśmy wóz zepchnąć na ciepłą wodę basenu. Ciemności były nieprzeniknione. Niekiedy tylko, gdy wiatr na chwilę rozebrał wciąż podnoszące się z wody opary, widzieliśmy błyszczące w górze gwiazdy. Wtedy ukazywał się nam także na południu szeroki pas błękitnego światła, biegnący wzdłuż krańców widnokręgu. Dziwiło nas to zjawisko, gdyż nie zniknęło długo w noc, choć fosforyzujące rośliny, któreśmy uważali początkowo za przyczynę tego światła, zamknęły się były już dawno. Blask ten ciekawy zagasł dopiero dopiero po północy, gdy mroź zdała od ciepła musiał już być nadzwyczaj tegi.

Nim to jednak nastąpiło, zaniepokoiła nas inna rzecz. Mianowicie, około północy dało się odczuć silne wzburzenie wody, któremu towarzyszył głuchy grzmot podziemny. Prawie równocześnie dostrzegaliśmy przez mgłę na wschodzie krwawą, słupem w górę idącą pożogę. Po kilku godzinach zgasła, ale wkrótce rozpalila się znowu i trwała tak na niebie z małymi przerwami przez cztery ziemskie doby, podobna do straszego, piekielnego ducha, pojawiającego się we mgle i nocy nad śnieżną pustynią.

Temperatura wody w basenie, kolysanej ciąglemi wstrząśnieniami gruntu, podniosła się wtedy cokolwiek, tak, że cierpieliśmy raczej ze zbyt gorąca, niż z jego braku.

Już w nocy podczas trwania zjawiska, które nas z początku zaniepokoiło, a nawet przeraziło, domyślaliśmy się, że gdzieś w pobliżu znajduje się wulkan, którego wybuch właśnie widzimy. Przemawiało za tem także samo istnienie silnych cieplic, pojawiających się najczęściej w wulkanicznych okolicach.

Nadechodzący dzień potwierdził nasze domysły. Zrazu, mimo jasności, nie nie mogliśmy widzieć, gdyż z powodu mrozu nie opuszczaliśmy jeszcze basenu, a mgły, widok nam zasłaniały. Dopiero w czterdzieści godzin po wschodzie słońca wyszliśmy z wozu, przybivszy od południa do kamiennego brzegu. Parę kroków szliśmy jeszcze w gęstej mgle, aż nagle, jakby za podniesieniem czarodziejskiej zasłony, otworzył się szeroki widok przed nami.

Stanęliśmy jak wryci, przejęci podziwem i radością.

O kilkanaście metrów poniżej, w odległości dwóch do trzech kilometrów od miejsca, gdzieśmy stali, było — morze.

Jego to fosforyzujące od drobnych żyłatek fale świeciły nam mdłym braskiem długo w noc przez mgły i cienie.

Teraz widzieliśmy je wyraźnie. Nieprzejrzała, u brzegów lodem jeszcze ścięta, ale dalej już falująca i ruchliwa, słońcem pozłocona, wodna płaszczyna, ciągnęła się od naszych stóp gdzieś poza kresy widnokręgu. (DCN)

Władysław Hoffe

Opowiadanie z „gminu” i ze „dworu”

Jako ilustrację istnienia jeszcze niezaginionych niektórych wierzeń ludu naszego, chcę na łamach pisma przytoczyć jedno opowiadanie. Opowiadanie to niejednokrotnie słyszałem w dzieciństwie i w wieku dojrzałym od kilku rodaków jak z „gminu”, tak i z „dworu”, którzy świecie wierzyli w niewątpliwą prawdziwość wszystkich szczegółów „nieco” bajecznego zdarzenia. Treść tego opowiadania skrzętnie zachowałem w pamięci ze wszystkimi okolicznościami; niestety nie zdecydowałem się w swoim czasie zanotować tego w miejscowej gwarze, w której je właśnie najczęściej słyszałem. Opowiedziane w bezbarwnej, mało subtelnej, książkowej mowie, rozcieńczona wodą racjonalistycznych rozważań, musi ono stracić na powabie naiwności pierwotnej.

Kiedys (kobiety opowiadające słyszały o tem zdarzeniu od matek, najdalej od babek, jakby o wypadku wczorajszych dni, o wypadku, który się zdarzył w ich okolicach u ludzi znanych) mieszkała, w zarzuconej leśniczówce jakiegoś podupadłego pana, w Rzeżyckim (dziś — Rezekneńskim) podobno powiecie, sama jedna, w wielkich niedostatkach, starsza kobieta, wdowa po leśniku, u której, zmarła po pogoju jedynaczka — córka, pozostawiła dziewczynkę — sierotkę. Z racji ubóstwa i osamotnionego gdzieś na uboczu mieszkania, postanowiła żywić dziecko mlekiem od krowy, pozostałej jeszcze z lepszych czasów. Jednakowoż ten sposób żywienia, dość, zdaje się, niezłożony i bardzo pospolity, okazał się w danym wypadku mało dogodnym, bo dziewczynka tak niechętnie, nawet z nielada uporem, poddawała się procedurze karmienia z łyżeczki, czy przez smoczek i tak mało pokarmu mogła użyć, że z każdym dniem coraz bardziej podupadała na siłach, mizerniała, drzemała ciągle, nie płakała, lecz żałośnie jakoś kwiliła. Babka, przywiązana do wnuczki całem samotnem starcem sercem, nie wiedziała co począć, co uczynić, ażeby niespodzianej trosce i grożącemu już nieszczęściu zapobiec. Do kogo nie zwracała się o pomoc, raczej o dobrą radę, nikt jej i nic nie mógł stosować doradzić. Znalazła się jednak wreszcie liściowa kobiecina z sąsiedniego folwarku i zaciągnęła się podkarmiać dziecko własną piersią, lecz dziecko piersi jej nie przyjęło. Jakiś przyładowy doradca, niby podróżny, nieobeznany z okolicznościami, rzucił od niechcenia mało stosowny frazes: „A niechajże matka rodzona spróbuje dać piersi!”

Rada ta, w danych warunkach nadzwyczajnie niedorzeczna, dała jednak niespodziane skutki, bo głęboko utkwiała w mózgu i sercu zatroskanej, skłonnej do ślepej wiary we wszelkie cuda, kobiety. Przekonana, że rada podana jej pochodziła z ust nie zwyczajnego śmiertelnika, uporczywie zastanawiała się w myśli: matka musi od czasu do czasu wyjść z mogiły, dać córce piersi; ratować ją od powolnego konania; wszak nie może być, ażeby Pan Jezus, który dla zbawienia ludzi zmarł na krzyżu, był aż tak nielitościwym i nie zezwolił matce chociażby na krótki czas opuścić śmiertelnego łoża. Z tą natrętą myślą chadzała często na cmentarz, gorzko tam płacząc i błagając liściostoi dla umierającego niemowlęcia. Sam fakt odwiedzania żywych przez umarłych nie przedstawiał się jej nieprawdopodobnym, wszak cudownych opowiadań o tego rodzaju zjawiskach, rzadkich lecz możebnych, w swoim długim życiu dużo słyszała. Uspakajając wnuczkę często twierdziła jej łagodnie i przekonująco: „Prędko przyjdzie do nas mama, będzie karmić dziecię, dziecięca będzie zdrowiutka, wesola! Nieprawdaż?” Zawsza przez tych zapewnieniach, zwróconych do wcale jeszcze nieświadomego dziecka, zdawało się starej, iż dziecko rozumie jej słowa, bo wraz uspokajało się i zasypiało z uśmiechem pogodnym na licu...

I oto pewnego razu, w ciemną noc, gdy sierota, po wstrząsającym ataku płaczu i niepokoju, osłabiona, zadrzebiała niby, kwiląc, a kobieta zrozpaczona leżała tuż obok na swem posłaniu, szeptała swą niezmienną, błagalną modlitwę, od drzwi wejściowych powiało chłodem. Chłód ten obezwładnił starą. Ktoś, niewidzialny, cichuteńko, bez szmeru, podszedł do kołyski, dziecko wraz przestało kwilić i radośnie zamamotało. Głos niewidzialnej łagodnie zanucił kołysankę „O sierociu”, którą za młodych czasów śpiewała nad kołyską swej jedynaczki starą. Dało się słyszeć wyraźne mlaskanie ssącego pierś dziecka, a potem spokojny oddech śpiacej. Po upływie mniej więcej kwa-

dransu znów powiało zimnem od strony drzwi. Kobieta z wolna odzyskała zdolność ruchu, głosu i wzroku. Gdy odczuła, że cudowne zjawisko znikło, że nikogo oprócz jej i wnuczki niema, przy świetle łuczywa spojrzała na ulubioną wnuczkę, spokojnie śpiącą ze słodkim uśmiechem na twarzy. Potem w ogromnem podnieceniu nerwowem padła na kolana i zawołała: „Jezusie miłosierny, wysłuchaj krwawe modły me; dzięki pieczy Twej dziecko będzie żyć, wierzę święcie!” Tego rodzaju cudowne zjawiska w tych samych okolicznościach, co za pierwszym razem, powtarzały się co noc w przeciągu kilku miesięcy do czasu, aż dziecko zaczęło wzmacniać się na siłach, na humorze, odzyskało rumieńce na twarzy, uśmiech na ustach i chętnie bez oporu piło i jadło podawane przez babkę mleko i kaszkę. Wiara starej, że wszystko, co w tym czasie się wydarzyło cudownego, nie było jej chorobliwą wyobraźnią, lecz istniało w rzeczywistości, jeszcze bardziej wzmocniła się, kiedy jednej z kumoszek pewnego razu wydarzyło się widzieć kobietę w białem ubraniu, wychodzącą z cmentarza i podążającą w kierunku leśniczówki. Obawiając się urzeczenia, o cudownem zjawisku długo nikomu nie mówiła, lecz gdy wnuczka znacznie podrosła i zmężniała i nic nie zagrażało jej zdrowiu, a strach urzeczenia znikł, język kobiecinę szczęśliwej rozwiązał się: „Oto widzicie — prawdę ludziska mówili, bywa czasem i na naszej grzesznej ziemi cud, przychodzą zmarli do żywych, rzadko, rzadko, ale przychodzą, najczęściej matki do swych sierot”...

Najdziwniejszy w tem opowiadaniu szczegół, to ten, że dziewczyna, gdy nieco podrosła, pamiętała jak ją karmiła piersią matka, jaką kołysankę śpiewała i jak była piękna, przyczem w opisanu nieboszczki — matki nie rozmięła się z rzeczywistością.

Gdy pobudzony niepomąganą chęcią przeczucia zwracałem uwagę bajkarek, że wszystkie te zjawiska cudowne mogły istnieć tylko w wy-

obraźni, zmęczonej śmiertelną troską o życie wnuczki, babki, owe bajkarki nie bez racji odpowiedziały: „Niech będzie i tak, lecz powiedz, młody człowieku, dlaczego jednocześnie z cudownem zjawiskiem w wyobraźni kobiety, a nie w rzeczywistości, dziewczynka odzyskała fizycznie i moralnie, a szczególnie, jakże to ona mogła pamiętać o tem, czego w rzeczywistości nie było, a było tylko w wyobraźni starej kobiety, t. j. o procedurze karmienia piersią, śpiewie kołysanki właśnie tej, a nie innej, pamiętała o rysach matki za życia niewidzianej... Wcale nieprzekonywującym było uporczywe moje twierdzenie, iż dziewczyna, pod wrażeniem opowiadań babki i kumoszek, z wiarą dzień w dzień powtarzanych, cudze przeżywać brała za swoje i jej się zdawało, że wszystko, o czem z lat dziecińczych słyszała od innych, że wszystko widziała za własne oczy, słyszała na uszy, przeżywała. Słowa moje nie były przekonujące dla ludzi z gminu, lecz i dla osób ze „dworu”. Moja rodzona babka, po matce, kobieta 80 lat mająca, żona właściciela majątku, bardzo gniewała się na moją „lekkożytność” na mój (przynajmniej ze skrupułów) nietaktowny przy badaniach ludoznawczych sceptycyzm w stosunku do zasadniczej idei opowiadania. — „Nie bajki to, a prawdziwe zdarzenia, tak! cudowne! Niewierny ty, Tomasz! Zapamiętaj raz na zawsze, durniu ty taki, i ze swoim „dlaczego”, które tobie podpowiada szatan, nie leż w oczy ludzi wierzących”.

O istnieniu podobnych wierzeń, różnych zabobonów, zwyczajów, obrzędów wiele opowiadał mi półwieku wstecz ówczesny proboszcz jednego z wiejskich kościołów rzeżyckiego dziekanatu, ustosunkowując się do zawartej w opowiadaniach przewodniej myśli wcale nie negatywnie. U tego pocziwego i życzliwego względem parafian księdza, między innemi, zapisałem melodję wyżej wspomnianej kołysanki. Niestety, widzę proboszcza w dziedzinie ludoznawstwa krajowego nie wykorzystałem przy sposobności, bo wtedy sprawy dnia dzisiejszego i jutrzejszego samowładnie zasłaniała sprawy dnia wczorajszego, pozostawiając inne kwestie na potem. Dobrze to znana właściwość charakteru przeciętnego polaka z dzisiejszej lotewskiej Łatgalii.

Grudzień, 1935 r.

Wiadomości ciekawe

Walka o prawo do śmierci

(Dokończenie ze str. 13)

Sposoby zabijania

Proponowano różne metody tego dobrowolnego zabijania. Lekarze są naogół zdania, że pacjenci będą zwolennikami silnego środka oszalałającego. Z różnych stron zwracano uwagę, że nawet chorzy, którzy ciężko cierpią, nie zdecydują się na ostateczny krok wobec tak skomplikowanej procedury, przed zadaniem śmierci. Jednakże ze strony zwolenników eutanazji zapewniają, że w praktyce trudności takie zostaną usunięte.

Jeden z głównych bojowników tej idei w Anglii, prof. C. K. Millard, bronił w rozmowie z przedstawicielem United Press zasady eutanazji przeciw różnym atakom, jakie dotychczas już skierowano przeciw „Lidze prawa do śmierci”, nazywając ją barbarzyńską i niemoralną. Największe zastrzeżenia czyniono ze strony Kościoła. „Jednakże przeciwko tym krytykom — mówił prof. Millard — mamy głosy najwybitniejszych przedstawicieli Kościoła”. Nie tak dawno podniosła się cała burza protestów przeciwko sterylizacji. W międzyczasie jednak uznano te sprawy jako zdobyte socjalne.

Dr. Millard oświadczył, że mimo wielkiego postępu medycyny, niezliczona ilość ludzi skazana jest na pełnię cierpienia, przewlekłe umieranie. Niema wątpliwości, że „cierpienie” śmierci polega tu na niezwykłych ciężkich cierpieniach fizycznych, które umierający musi znosić zwłaszcza przy chorobie raka.

Elementarne prawo do śmierci

Liga prawa do śmierci chce wprowadzić śmierć wyłącznie w tych wypadkach, gdy pacjent sam sobie tego życzy. „Jesteśmy zdecydowanymi wrogami zabijania niedoświadczonych umysłowo i wariatów. Nie sadzimy również, aby w jakikolwiek

warunkach człowiek miał prawo zabierać życie drugiemu człowiekowi, dlatego, że ten stał się mu ciężarem. Eutanazja, to nie akt litości, ale elementarne prawo.

Na pytanie: jak będą się jego zdaniem odnosili bliscy krewni tego, który chce się przenieść na tamten świat, odpowiedział dr. Millard, że początkowo będą zapewne trudności, ale w końcu ludzie zrozumieją, że jest to tylko oszczędzenie cierpienia tym, których kochają. Co do chorych, to niejednokrotnie będzie im to odpowiadało ze względu na skrócenia własnych ciężkich cierpienia, ale także dlatego, że uwolnią swych najbliższych od wielkiego ciężaru. Z tego punktu widzenia eutanazja staje się czemś heroicznym i pozbawionem egoizmu działaniem, które raczej należy podziwiać.

Co jeszcze należałoby „wynaleźć”?

Pomimo niesłychanych postępów techniki, świat żąda ciągle nowych wynalazków. Wiele zagadnień nie znalazło jeszcze rozwiązania, a wielkie fortuny czekają tych, którzy potrafia wypełnić istniejące braki w rozmaitych dziedzinach techniki. Celem zorientowania badaczy i wynalazców i skierowania ich wysiłków na właściwe tory, angielski Instytut Patentowy wydał ostatnio książkę p. t. „To, co jest potrzebne”. Książka ta zawiera wyszczególnienie 895 potrzebnych wynalazków, wchodzących w zakres niemal wszystkich dziedzin aktywności ludzkiej, od najprostszych, mających na celu tylko oszczędzenie pracy domowej, do najbardziej skomplikowanych mechanizmów. Między innemi spis ten obejmuje okna, skonstruowane w ten sposób, że zamykałyby się automatycznie w razie deszczu, papieros, któryby się zapalał z łatwością w czasie wiatru, bandaże, któryby się sam szybko zwił po odwinięciu i. t. p. i. t. p.